



**Misja Instytutu
Pamięci Narodowej
jest taka:
nie oddamy Żydom
II wojny światowej.**



DZIENNIK COTYGODNIOWY

**Co kręci
Gliński**
str. 12

**Pavarotti
Jacka
Kurskiego**
str. 11

**Rządzący Polską pisowscy nieudacznicy przepuścili
miliard złotych! Gdzie jest prokurator?**

Morawiecki popłynie z prądem

ANDRZEJ SIKORSKI

To miała być sztandarowa inwestycja pisowskiej władzy. W lipcu 2018 r. wśród licznie zgromadzonych oficjeli (ministerów, posłów, dyplomatów, samorządowców) z pompą podpisano kontrakt na budowę trzeciego bloku energetycznego Elektrowni Ostrołęka (tzw. Ostrołęka C). Blok ma być oddany do użytku w 2023 r., a jego koszt oszacowano na ponad 6 mld zł. Za budowę odpowiadają państwowe spółki Enea i Energa obsadzone przez nominatów PiS.

Gromy. W czasie uroczystości zaczęły walić pioruny, a z nieba lunął rzęsy deszcz. „Nie wiem, czy państwo wiecie, ale w polskiej chrześcijańskiej tradycji taki deszcz oznacza działanie Ducha Świętego. To też jest bardzo symboliczne” – mówił do zgromadzonych VIP-ów poseł Arkadiusz Czartoryski.

Dumy nie krył premier Mateusz Morawiecki. W specjalnym liście odczytanym przez ministra energii Krzysztofa Tchórzewskiego napisał: „Dzisiaj po raz kolejny udowadniamy, że w wielkiej misji modernizacji kraju, której się podjęliśmy, kluczowa jest wiarygodność. Realizujemy nasze zapowiedzi. Przeciwstawiamy Polskę mocy Polsce niemocy”.

Brednie. W czasie kampanii samorządowej politycy PiS twierdzili, że inwestycja w Ostrołęce stanie się ważnym elementem bezpieczeństwa energetycznego i zapewni rozwój gospodarki kraju. Podczas szczytu klimatycznego ONZ w Katowicach (grudzień 2018 r.) minister Tchórzewski opowiadał zdumionym zagranicznym gościom, że budowa elektrowni została narzucona przez Brukselę (*sic!*). „Są pewne cele, które niekoniecznie z punktu widzenia naszego interesu – i ekologicznego, i gospodarczego – byłyby dla nas najważniejsze, tylko niekoniecznie na tym zyskujemy; ale to jest pewna solidarność europejska. Bez nas, bez Finlandii, bez Szwecji kraje bałtyckie nie mogłyby się zsynchronizować z Unią Europejską, więc pewnie takie działania też musimy podejmować” – bredził Tchórzewski. Nie istnieją żadne dokumenty międzynarodowe, które potwierdzałyby tezę o konieczności budowy bloku dla synchronizacji energetycznej UE i państw bałtyckich.

Specjaliści z branży pukali się w głowę, widząc nieracjonalne poczynania PiS. Budowa Ostrołęki C była zarzuconym w 2012 r. pomysłem rządu Donalda Tuska. Platforma Obywatelska zrezygnowała z tej inwestycji ze względu

na jej nierentowność. Sceptycy ostrzegali rządzących, że budowa bloku opalanego węglem – gdy Unia Europejska odchodzi od paliw kopalnych – jest szaleństwem.

Elektrownia będzie nie tylko nierentowna, ale i nieopłacalna – przyniesie prawie 7 mld zł strat, czyli więcej niż koszt jej budowy.

Produkowany prąd będzie tak drogi, że nikt go nie kupi. Nie można też zapominać o zanieczyszczeniu środowiska i negatywnym wpływie na zdrowie milionów Polaków.

Pieniądze. Najważniejsze pytanie dotyczyło tego, skąd PiS weźmie pieniądze na sfinansowanie inwestycji. Banki nie chcą bowiem pożyczać forsy na wątpliwe ekonomicznie przedsięwzięcia zatruwające środowisko. Nawet kontrolowane przez władzę banki PKO SA, PKO BP, BOŚ nie kwapiły się do udzielenia pożyczki. Decydenci odpowiadali, że wszystko jest załatwione i nie ma powodów do zmartwień. „Wierzę, że uda się rozpocząć budowę szybko. Wszyscy są do niej przygotowani” – zapewniał Tchórzewski.

Mijały miesiące, a na placu robót niewiele się działo. Jesienią 2018 r. ogłoszono, że do budowy dołożą się państwowe spółki (Energa, Enea i PGE poprzez zależny fundusz inwestycyjny), które miały wysupłać ok. 2 mld zł. Wciąż jednak było to zbyt mało. W akcie desperacji Tchórzewski zapowiedział, że rząd ściągnie środki z funduszy emerytalnych spółek energetycznych. Porzucił absurdalny pomysł, gdy liderzy związkowi zagrozili, że przyjadą z kilofami do Warszawy bronić pieniędzy pracowników.

W listopadzie 2019 r. PGE poinformowała, że wycofuje się z finansowania budowy elektrowni. Prezes Enei Mirosław Kowalik uspokajał, że inwestycja nie jest zagrożona, a prace toczą się zgodnie z harmonogramem, choć, jak przyznał, wciąż nie ma pieniędzy na budowę. „Rozmawiamy w sprawie zamknięcia finansowania elektrowni Ostrołęka. Bierzemy pod uwagę pozyskanie finansowania spoza Europy” – mówił tajemniczo.

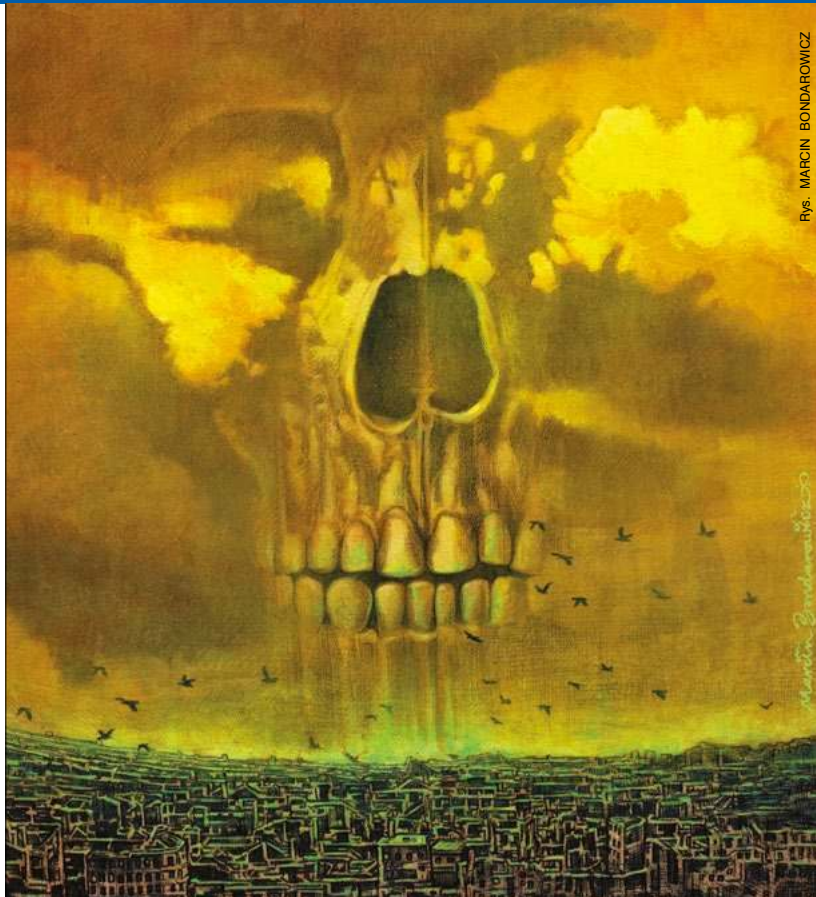
W grudniu 2019 r. minister aktywów państwowych Jacek Sasin, pytany, co dalej z budową, odparł: „Szukamy sposobu pełnego finansowania tej inwestycji – ona będzie kontynuowana”. Teraz jednak Sasin zmienił zdanie. Twierdzi, że jest problem z Ostrołęką i „trzeba poważnie przeanalizować sens takiego projektu”.

Szaleństwo. Władza zapędziła się w kozi róg. Nie ma pieniędzy na dokończenie bezsensownej, motywowanej politycznie inwestycji. Wycofać się tak po prostu też nie może. Wkrótce Morawiecki ogłosi, że wszystkiemu winna jest Unia i jej niechęć wobec energetyki węglowej. Część opinii publicznej zapewne łyknie te brednie. Jednak sprawą powinien zainteresować się prokurator. Na budowę bloku energetycznego wywalono już miliard złotych. Znaczną część wypłacono bezpośredniemu wykonawcy robót. Tworzy je konsorcjum spółek GE Power (koncern amerykański) i Alstom Power Systems (międzynarodowy koncern z siedzibą w Levallois-Perret pod Paryżem).

Jak wynika z ustaleń NIK, decyzja o budowie była szaleństwem. Inwestycję rozpoczęto bez zapewnienia jej pełnego finansowania oraz bez analizy pod kątem aktualności założeń dotyczących parametrów technicznych oraz zastosowania paliwa węglowego. Wzniesienie projektu nastąpiło w sytuacji, gdy strategii odpowiadających za budowę spółek Energa i Enea w ogóle nie uwzględniały takiej inwestycji.

Odpowiedzialni. Lista odpowiedzialnych za zmarnotrawienie ogromnych pieniędzy jest długa. Są na niej m.in. premier Mateusz Morawiecki i ówczesny minister energii Krzysztof Tchórzewski, liczni członkowie zarządów i rad nadzorczych Energi i Enei. Prokurator powinien zapukać do byłego prezesa Energi Arkadiusza Siwki (szefował spółce przez zaledwie 29 dni, ale w kluczowym momencie podpisał kontrakt na budowę elektrowni). To bliski współpracownik Antoniego Macierewicza. Był szefem jego gabinetu politycznego, gdy w latach 1991–92 Macierewicz kierował MSW. Krótco po wyborach w 2015 r. Siwko został prezesem nadzorowanej przez MON Polskiej Grupy Zbrojeniowej i członkiem rady nadzorczej Wojskowych Zakładów Motoryzacyjnych. Zasiadał w radach nadzorczych PKN Orlen i Polskiej Spółki Gazownictwa. Gorącym orędownikiem budowy elektrowni był ówczesny pisowski prezydent Ostrołęki Janusz Kotowski. Po przegranych wyborach samorządowych partia wsadziła go do zarządu spółki nadzorującej budowę elektrowni, gdzie zarabiał kilkadziesiąt tysięcy złotych miesięcznie. To posada w sam raz dla byłego nauczyciela, absolwenta Akademii Teologii Katolickiej. □

nie@redakcja.nie.com.pl



Rys. MARCIN BOLDROWICZ

Cyklonek B

Polak będzie szedł płynną szosą. Wo-koło pustynia, a z góry plus 55 stopni.

Kryzys klimatyczny to nie tylko odległa wizja umierających w pożarach lasów wiewiórek. Skutki naszego zamiłowania do benzynowych samochodów, pieców opalanych kapiami i plastikowych torebek dadzą nam srogo po dupie lada moment.

Nie ma dziś w Polsce modniejszego tematu. Ba, na całym świecie zdaje się, że trudno o bardziej snobistyczną aktywność prospołeczną niż strajkowanie dla klimatu czy recykling puszek i butelek. Gdyby los planety zależał od celebrytów, karpie nigdy nie trafiłyby do polskich wani, Podkarpacie zamieliłyby samochody na hipsterskie rowery, a w elektrowni Bełchatów zamiast ruskim węglem palono by soję.

I choćbyśmy tu morze łez wylali, niestety liczba polubień na Facebooku nie decyduje o tym, kto zasiada w ławach parlamentarnych, a to oznacza, że w sprawach państwowych, także tych związanych z katastrofą ekologiczną, decydują Mateusz Morawiecki i jego rząd, a nie aktorzy, żony piłkarzy i zwyciężczynie dziecięcej Eurowizji.

Jak gdyby tego było mało, szum medialny i masowa dezinformacja, nadawane przez wielkie koncerny prasowe, są dla tych firm wręcz niewyczerpanym źródłem mamo-

ny trzpanej na nieorientowanym społeczeństwie. Skupmy się na prawdziwych problemach, które katastrofa klimatyczna przyniesie nam nie w 2070 r., gdy większość z nas opuści już ten padół. Zajmijmy się problemami, które zdążą jeszcze namieszać w życiu dzisiejszym 70–80-latkom.

Upał

Wbrew powszechnemu przekonaniu największym problemem upałów nie jest intensyfikujący się odór w komunikacji miejskiej ani nawet darwinowska eliminacja wszystkich chorych na serce. Temperatura sięgająca 40 stopni Celsjusza w Polsce widzujemy od zawsze, ale ich częstotliwość, długość oraz okresy występowania wydłużają się. Tak przynajmniej twierdzi Światowa Organizacja Meteorologiczna. Gdy pierwsze 35-stopniowe kwiecień i październiki zaczną wyciskać z nas ostatnie poty, szybko zorientujemy się, że to dopiero początek zabawy.

Upał to także przeciążenie sieci energetycznych. Elektrownie spalające węgiel kamienny i brunatny to system do cna scentralizowany. Latem, gdy do prądu podłączamy

Dokończenie na str. 3



Nasze napletki, wasze kamienice

W trwającej do 10 maja prezydenckiej kampanii wyborczej Duda spotkał się z pierwszymi publicznymi wyrazami niechęci. W Pucku podczas uroczystości stulecia zaślubin z morzem przeciwny obecnemu prezydentowi suweren gwizdał, buczał i krzyczał. Co na to Duda? Spuścił podbródek na kwintę.

W mnożących się sondażach prezydenckich Duda wciąż góruje nad Małgorzatą Kidawą-Błońską (Koalicja Obywatelska), Szymonem Hołownią (niezależny celebryta), Robertem Biedroniem (Nowa Lewica), Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem (Koalicja Polska) i Krzysztofem Bosakiem (Konfederacja). Z badań wynika, że Duda nie wygra wyborów w pierwszej turze (ufffi!), ale wygra w drugiej (buuu!).

W Parlamencie Europejskim odbyła się kolejna debata nad stanem praworządności w Polsce. Wiceprzewodnicząca Komisji Europejskiej Věra Jourová, która niedawno odwiedziła Polskę i rozmawiała również z pisowcami, uznała sytuację za poważną i zapewniła, że KE Polsce nie odpuści. Didier Reynders, unijny komisarz ds. sprawiedliwości, ostrzegł, że „KE nie zawaha się wykorzystać wszystkich możliwych mechanizmów i środków, po to żeby bronić praworządności”. Nie zrobiło to większego wrażenia na pisowcach (Szydło, Jaki), którzy powtarzali jak katarzynki, że sądownictwo to wewnętrzna sprawa Polski i że się nie ugną pod brukselskim dyktandem.

Kempa, pisowska posłanka do Parlamentu Europejskiego, podczas konwencji Ziołowej Solidarnej Polski wykiła homoseksualizm Krzysztofa Śmiszka, partnera Roberta Biedronia i posła Nowej Lewicy do polskiego parlamentu. Na chamstwo Kempy moglibyśmy odpowiedzieć chamstwem – że wygląda tak, jak się nazywa. Wspominamy o nim jednak dlatego, że Kempę powszechnie potępili wszyscy politycy i publicyści (z wyjątkiem członków Solidarnej Polski), co świadczy o tym, że naprawdę możemy czuć się Europejczykami.

„Rzeczpospolita” poinformowała, że Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej gotów jest orzec o tzw. zabezpieczeniu polegającym na zamrożeniu działania Izby Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Jeśli sędziowie tej izby, której trzy izby SN odmówiły uznania za sąd w znaczeniu europejskim, nadal będą orzekali, na Polskę zostanie nałożona kara w wysokości 2 mln euro dziennie. Taka kasa to nie w kij dmuchał; suweren może nie rozumieć, że w imię dobrej zmiany pisowcy wsadzają pieniądze europejskiemu psu pod ogon.

W trzyosobowym składzie Izba Dyscyplinarna SN uwolniła adwokata Romana Giertycha od zarzutu naruszenia dobrego imienia ofiar katastrofy smoleńskiej. Kasację w tej sprawie wniosł do SN prokurator krajowy Święczkowski. Wcześniej ten sam skład Izby Dyscyplinarnej ukarał Giertycha karą porządkową w wysokości 3 tys. zł – za to, że adwokat manifestacyjnie nie wstał podczas wejścia sędziów do sali, a następnie wygłosił mowę, której istotą było nieuznanie ich za sędziów. Giertych zapowiedział, że kary nie zapłaci, nawet gdyby zamieniono ją na areszt. Oczywiście Ziobro do tego nie dopuści – zrobienie z Giertycha męczennika to ostatnie, co jest potrzebne obozowi dobrej zmiany.

Bohaterem pisowskiej telewizji publicznej został Nawacki, prezes olsztyńskiego sądu rejonowego i członek upolitycznionej Krajowej Rady Sądownictwa. Podczas zgromadzenia sędziów tego sądu Nawacki podarł kartki z tekstem uchwały potępiającej go za haniebne działania wobec sędziego Pawła Juszczyszyna, który od dawna jest bohaterem mediów antyreżimowych. Kolegium Sądu Okręgowego w Olsztynie potępiło Nawackiego, lecz jednocześnie przegłosowało odsunięcie Juszczyszyna od orzekania. Suweren gubi się już w tych rozgrywkach – nie wie, kto jest dobry, a kto zły. Skutkiem zagubienia może być apatia i agresja: A niech ich wszystkich szlag trafi!

Centralne Biuro Antykorupcyjne opublikowało setki stron dokumentów oraz pliki dźwiękowe pochodzące ze śledztwa w tzw. sprawie willi Kwaśniewskich w Kazimierzu Dolnym. Z kwitów i podsłuchów ma wynikać, że agent Tomek kłamał, gdy niedawno oskarżał o bezprawne wywieranie presji ministra spraw wewnętrznych, a wcześniej szefa CBA Kamińskiego oraz jego zastępcę Wąsika. Kwity mają też sugerować, że Kwaśniewscy nie byli w tej sprawie tacy niewinni, za jakich przed laty uznala ich prokuratura, umarzając śledztwo. Trudno nie zgodzić się z opinią Radosława Sikorskiego, który napisał na Twitterze: „Jeśli doszło do przestępstwa, to dlaczego nie postawiono zarzutów, a jeśli nie, to jakim prawem CBA narusza prywatność byłego prezydenta?”.

Agenci CBA zatrzymali dwóch byłych wysokich funkcjonariuszy CBA – zarzuca im się zdefraudowanie miliona złotych z funduszu operacyjnego oraz przyjmowanie kosztownych łapówek od koncernu paliwowego. To już druga ujawniona afera w CBA; niedawno media informowały, że kasjerka ukradła z biura od 5 do 15 mln zł. A ile jest nieujawnionych afer!

Politycznie bierni, obojętni wobec niedemokracji stopniowo kopią grób sobie samym. Tak moim chamskim językiem streszczam przesłanie Mariana Turskiego wygłoszone w Oświęcimiu w 75-lecie wyzwolenia obozu. Jest ono pośrednio samokrytyczne wobec własnej młodości Mariana – ekskomunisty.

Zapoczątkowano zbieranie podpisów pod wnioskiem o przyznanie Turskiemu pokojowego Nobla. Kolejnego medalu po Oldze Tokarczuk dla kogoś z Polski będącego nie w smak tutejszej partii i rządowi. Ile żab mogą przełknąć Kaczyński i Duda? Żeby wniosek mógł być skuteczny, podpisy musiałyby złożyć autorytety światowego wymiaru. W ich gronie nie brzydziłby mnie nawet papież.

Spopularyzowanie idei w kraju wymagałoby poparcia TVN, a na obszarze UE mającej tu wpływy „Gazety Wyborczej”. Na razie polskie potęgi medialne zachowują powściągliwość. Jak sądzę, z powodu konkurowania na rynku z promotorem akcji, tygodnikiem „Polityka”. Ta absencja medialnych potęg stanowi taki właśnie przejaw bierności, przed jaką przestrzegał Turski.

Człowiek ten wygłosił arcydzieło. Jego mowa jest nim nie tyle ze względu na nienowocześnieść przesłania, ile z powodu obrazowości i prostoty przemówienia i ekspresji mowy. Z powodu tego także, że Turski poświadczał sens przekazu własną przeszłością żydowskiego, czyli skazanego na śmierć pensjonariusza Auschwitz.

Sugestywnie przemówione przesłanie Turskiego powinno znaleźć się w programie wszystkich szkół podstawowych na świecie. Oczywiście są państwa, gdzie to niemożliwe, np. Turcja, Iran, Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna, Rosja, Polska.

Przesłanie Turskiego, skierowane do świata, a warte Nobla, powinno też być emitowane z telewizorów w poczekalniach przychodni geriatrycznych. Ozdrowieńczo działałby bowiem żywy pokaz tego, że w 93. roku życia człowiek może rozpocząć wielką karierę pisarza i oratora.



Ewentualnego laureata pokojowego Nobla poznałem blisko 70 lat temu. Obaj pracowaliśmy wtedy w prasie młodzieżowej, zrzeszonej wówczas we wspólny organizm. Potem stykało mnie z Marianem moje prawie dwudziestoletnie sąsiedowanie w redakcji „Polityki”. Teraz, po 75-leciu końca obozu w Oświęcimiu okazują się wyrywnym entuzjastą głównego mówcy.

Paradoks sprawia, że nie mogę złożyć podpisu pod zbiorowym wnioskiem o Nobla. Wzbudziłoby bowiem moje nazwisko obrzydzenie, gniew, protesty, sprzeciw i atak na mnie tych, którzy podpisali się pod propozycją powieszenia na Turskim złotego medalu w Oslo. Byłoby to także obiektywnie szkodzące laureatowi. Pojawiłbym się jako łyżka dziegciu w beczce miodu. Gdyby Marian dostał Nobla, reżim, a nawet jego aparat propagandy, nie miałby wyraźnego powodu do czeplania się tego wyróżnienia. Turski w swojej historycznej mowie uznawał za dobre wartości, których PiS werbalnie nie neguje, chociaż niszczy je swoją polityczną praktyką. Gdybym i ja złożył podpis, dałbym swoją osobą pretekst reżimowi do wyrażenia gniewu. Patrz, narodzie, Michniki, Tokarczuki, Hollandy, Bodnary i Kondraty to taka sama banda, co Goebbels stanu wojennego! Idą noga w nogę z polską wersją tego kuternogi. Smród bije od wniosku o Nobla.

Służę bowiem do obrzydzenia wszystkiego i każdego, z kim się zetknę. To doniosła rola, ale bardzo delikatna.

Jak każdy człowiek, śledzę publikację na swój temat. Nie znajduję żadnej sumarycznej oceny siebie. W internecie dominuje żywa przychylność, ale raczej wywołana tym, że zabawiam odbiorców, niż tym, czym zabawiam. W prasie PiS nazwisko Urban stanowi obelgę. Jestem tam miarą złą, do którego przyrównuje się opozycyjnych publicystów. Bywały takie numery tygodnika „Gazeta Polska”, gdzie co kilka stron brudzono kogoś Urbanem. Zarazem w książkach historycznych, nawet IPN-owskich lub lżej prawicowych, chwalony bywam ponad miarę za rolę polityczną, jaką odgrywałem w drugiej połowie lat osiemdziesiątych. Sprzeczności te pozbawiają mnie spójnej tożsamości. Gubię się, szukając własnej właściwości.

Żeby więc wyrządzić przysługę Marianowi Turskiemu, powinienem na niego napaść. Nie mam jednak za co, zatem trąciłoby to wyczynalną sztucznością. Najlepiej więc, żebym się nie odzywał, co znów sprzeczne jest z moją naturą pchacza się na afisz przy każdej okazji, nawet erupcji wielkości Turskiego. Tajoną nienawiść reżimu pogłębia to, że jego wybitne przesłanie skierowane jest do całego świata, a nie tylko do Polski, która dla PiS jest całym światem. Przy tym ten gwiazdor myśli nie wywodzi się z „Solidarności”, jest więc z nieprawego łoża. Niechęć do siebie Turski zmusza tym, że okazał talent, a to protegowanym Kaczyńskiego nigdy się nie zdarza, także w poezji, muzyce, tańcu, filmie, nauce. Może czasem w sporcie będącym krzykliwym przejawem nacjonalizmu, w którym przeciwników nazywa się Żydami, gdyż to najmocniejsza z obelg.

Miedzy narodowcami samo przez się rozumie, że tacy jak Turski Żydzi sami się w Oświęcimiu wymordowali. Zrobili to, żeby wykazać, iż katolickich ofiar tego zakładu było 10 razy mniej od miliona czytelników Tory lub obrzezanych ateistów i ich kobiet. Turski dlatego też jest antypolski, że ani słowem nie wspominał o Polakach i Polsce. Naszej ojczyzny pojmając zaś nie wolno nawet w przepisie na spaghetti.

sekr@redakcja.nie.com.pl



PRASA ŚNIADANIOWA

- Mateusz Morawiecki** powiedział, że walczył z władzą, rzucając koktajlami Molotowa. W rzeczywistości to były koktajle Martini i premier rzucał dopiero czwartym.
- Na stronie **Rzecznika Praw Dziecka** można pobrać oświadczenia wyrażające sprzeciw wobec udziału dzieci w zajęciach edukacji seksualnej. Dlaczego tylko seksualnej?
- Portal **Frona.pl** przypomniał, jak Maryja w Lourdes wzywała do pokuty, pokuty i jeszcze raz pokuty. To tak jak wszystkie kobiety: buty, buty i jeszcze raz buty.
- TVP** podała, że większą niechęć niż weganizm wzbudzają tylko narkomani. Łączy ich działka.
- Cezary Gmyz** nazwał protestujących w Pucku bydłem. Na miejscu Pana Redaktora nie jechalibyśmy w tym roku nad polskie morze.
- Krajowa Rada Notarialna** protestuje przeciw nazywaniu prezydenta notariuszem. Czekamy na protest ortopedów, specjalistów od odcinka lędźwiowego.
- Mecenas Roman Giertych** powiedział, że jest psychicznie przygotowany na areszt. Rozumiemy. Będzie miło spotkać po latach swoich klientów.

MARTA M.

Dokończenie ze str. 1

niezliczoną liczbę klimatyzatorów i wiatraków, system ten ledwie nadaża z produkcją potrzebnej do chłodzenia naszych tyłków energii. Jeżeli jedna z kilkunastu elektrowni węglowych w kraju dozna awarii w czasie najwyższego poboru, jaki latem notujemy, system może posypać się jak klocki domina, przenosząc coraz większą liczbę odbiorców na coraz mniejszą liczbę sprawnych elektrowni, przeciążając je przy tym coraz bardziej i narażając na kolejne awarie. Najpierw ucierpią gospodarka i firmy, które będą musiały ograniczyć zużycie energii elektrycznej, a jeżeli to nie pomoże, będziemy musieli przypomnieć sobie, jak żyli nasi przodkowie przed erą elektryfikacji.

Na całe szczęście polski premier wydarł z gardła unijnych burzujów przywilej, dzięki któremu nie będziemy musieli być neutralni klimatycznie do 2050 r. Wielkie to szczęście za prawdę. Okrutna Unia chciała pomóc nam sfinansować lwią część kosztów, jakie ponieśliśmy przy przechodzeniu z energii węglowej na odnawialną i bezemisijną. My się jednak temu podstępnie planowi nie daliśmy, choć, wbrew przyjętej narracji, w czerwcu odbędzie się kolejny szczyt Rady Europejskiej i na nim wizja Polski – węglowego Kopciuszka – znów może stanąć pod znakiem zapytania. Wciąż jest jednak nadzieja, że nasz rycerski premier stanie w obronie rosyjskiego węgla i zależności energetycznej od kaprysów Władimira Władimirowicza.

Nie bez racji będzie ten, kto patrząc na wszystkie poczynania polskiego rządu i problemy, jakie nas przez te decyzje dopadną, powie „zazdroszczę Polsce dobrobytu”. Nie będzie to wprawdzie szwedzki prawnik ani holenderski piekarz. Raczej pakistański bezdomny umierający z głodu, ewentualnie hydraulik z Indii, który straci robotę przez brak wody w promieniu 50 km od najbliższej instalacji.

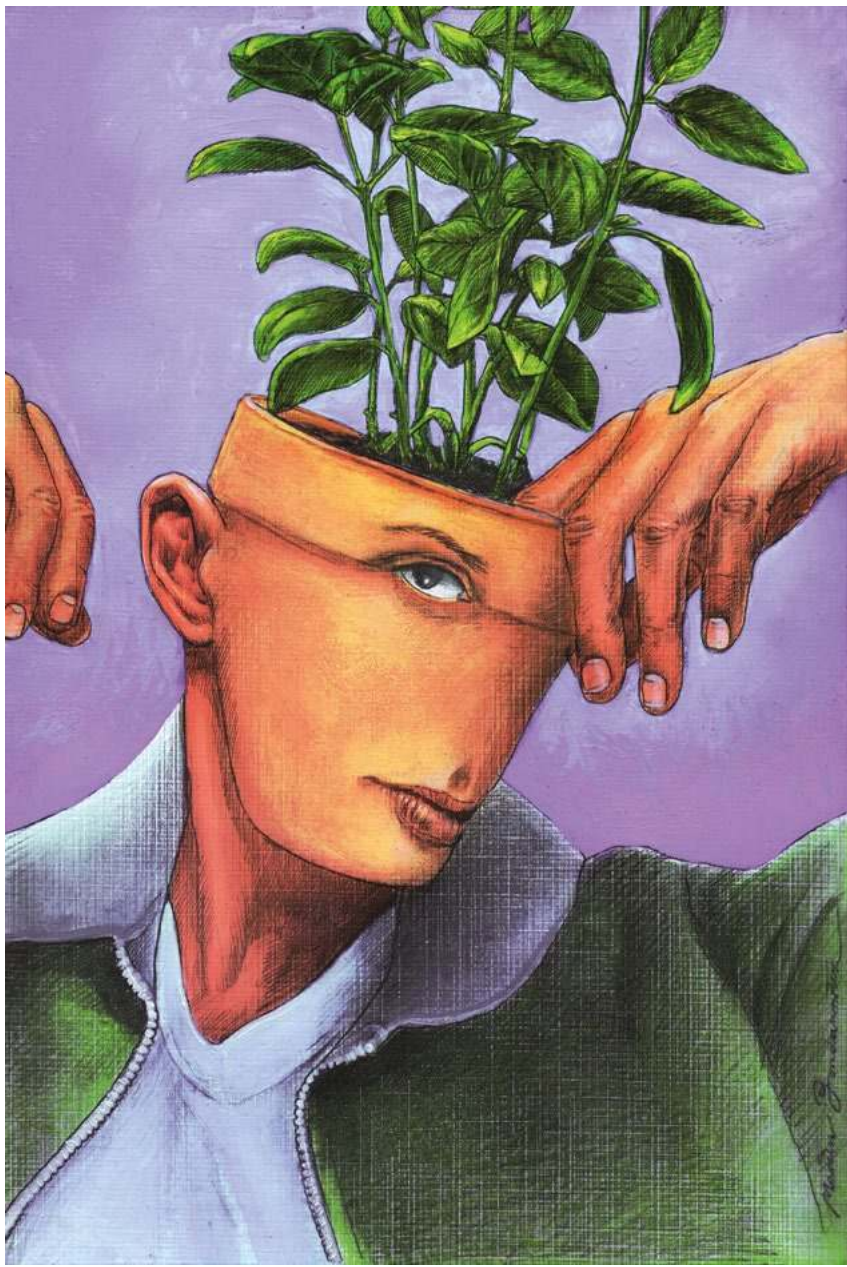
W Polsce ciepłe powietrze, podobnie jak ideologia gender, bierze się z zagranicy. Oznacza to, że jeśli u nas będzie 40 stopni w cieniu, gdzieś na Południu musi być cieplej. Kuszeni comiesięczną dostawą prądu i opcją beczkowozów dowożących zdatną do picia wodę mieszkańcy Południa mogą chcieć porzucić życie w 55 stopniach i przenieść się do nas, ucząc w praktyce Polaków, czym jest zjawisko migracji klimatycznej. Mówiąc wprost, część zamieszkujących do tej pory terenów stanie się jeszcze bardziej nieprzyjazna do życia niż strefy wolne od LGBT, a szalejące tam pożary wypalające ostatki życia, brak wody, pożywienia i niezdolność dla człowieka temperatury zmuszą południowców do osiedlania się na północy, czyli u nas.

Ilu przybyszów należy się spodziewać? Jak podaje Centrum Monitoringu Wewnętrznych Migracji w Genewie, w pierwszej połowie 2019 r. z powodu zmian klimatycznych przesiedliło się około siedmiu milionów osób. Tendencja wzrostowa była niezwykle dynamiczna. Do końca 2019 r. mogło to być nawet 20 milionów. A wciąż mowa tylko o jednym roku i o zjawisku, które dopiero się rozpęda.

Susza

Zdaniem lekarzy – i panuje tu powszechna zgoda – 100 procent ludzi

Cyklonek B



Fot. MARCIN BONDAROWICZ

pije wodę. Stąd tak ważny jest dostęp do wody pitnej, zwłaszcza gdy sierpniowy skwar zamykania nawet zdrowych i ciepłolubnych ludzi w kałuże potu.

Głośnym echem odbił się incydent z przełomu zeszłorocznej wiosny i lata, kiedy to w skierniewickich kranach zabrakło wody. Nie przez awarię, lecz przez suszę. Takich zdarzeń może być więcej, bo zgodnie z coraz częściej poruszonymi w masowych mediach obawami sytuacja hydrologiczna Polski faktycznie jest do dupy.

Gdy pierwsi Polanie na wieki przed wydaniem na świat Mieszka I osiedlili się w okolicach nieistniejącej jeszcze autostrady A1, nie bez pierwotnej mądrości doceniali bliskość Wisły. Duża rzeka to dużo wody, a dużo wody to nie tylko regularnie pełny pęcherz, ale także rozwój upraw i możliwość hodowli zwierząt. Kiedyś ważna też była żegluga, którą dziś zastąpił transport kołowy.

Zmniejszają się cały czas w Polsce tereny zalesione, mokradła i bagna. Jak podaje WWF, jedynie 16 proc. występujących naturalnie na terenie Polski torfowisk pozostało nietkniętych ludzką ręką. Resztę osuszaliśmy pod miasta, wsie, ale przede wszystkim pod uprawy rolne. Problem w tym,

że działające niczym gąbka tereny po ich osuszeniu nie zatrzymują już wody. Każde opady, które kiedyś zalegały w wodach gruntowych, dziś szybko spływają do rzek, a z rzek do morza. Woda przez Polskę przelatuje jak pieniądze przez Polską Fundację Narodową. A to oznacza, że jedynie kwestią czasu są wielomiesięczne susze, które już teraz zaczynają doskwierać nam w lecie. Zeszłego lata Wisła na odcinku warszawskim spadła do poziomu 40 cm. Nie był to rekord, ale wielce prawdopodobne, że za rok spadnie do 30 cm, może nawet do 20. A może rzeka wyschnie całkowicie, a niedobór wód, także gruntowych, osuszy nie tylko bulwary, ale także stołeczne krany. Warszawa nie jest wyjątkiem; zużycie wody będziemy musieli znacząco ograniczyć. Wizja mandatów za mycie samochodu w czerwcu czy podlewanie ogródka jest jak najbardziej realna. Jeśli ciśnienia wody w kranach nie da się utrzymać, za rok, może dwa widok beczkowozów na ulicach stanie się powszechny.

Na szczęście u władzy są rozsądni i przewidujący ewentualne zagrożenia Polacy – czego nie powiedział nikt nigdy, kto czasem wyłącza TVP Info. Nawet ja, a miałem wtedy ledwie 12 lat, pamiętam upokarzający

wszystkich zdrowych na umyśle ludzi fragment obrad Sejmu z 2006 r., gdy czytając ogłoszenia, pracownik Sejmu z niedowierzaniem odczytał komunikat o nabożeństwie w intencji o deszcz, które miało się odbyć w kaplicy sejmowej. Oburzony marszałek Marek Jurek dziwił się rechatowi sali, która nie dowierzała, że rządzące również wtedy Prawo i Sprawiedliwość swoją strategię hydrologiczną opiera głównie na kolanach, w dodatku kłęczących. Jak się to skończyło? Dla prezesa endoprotezą, dla nas dalszym betonowaniem koryt rzek.

Susza ma jeszcze jedno bardzo wymierne oblicze. Pamiętacie pietruszkę po 17 zł za kilo? Była to jedna z większych sensacji ostatniego lata. Niestety brak wody oznacza także brak pożywienia. Czy grozi nam klęska głodu w Polsce w dającej się przewidzieć przyszłości? Oczywiście nie. Czy grozi nam natomiast galopujący wzrost cen żywności, który zacznie pochłaniać coraz większą część naszego budżetu? Oczywiście tak. Zaburzone procesy hydrologiczne sprawiają, że nawet jeśli w Polsce mamy jakieś opady, to natychmiast spływają one do rzek, a z rzek do mórz. Masowe uprawy oczywiście sobie z tym poradzą. Właściciele dużych gospodarstw zainwestują w budowę lub rozbudowę już istniejących systemów nawadniania, ale na cenach żywności to się odbije. Mniejsi rolnicy wyschną na wior razem z pietruszką po 17 zł za kilo.

Powietrze

Opracowania lekarzy nie dają złudzeń: statystycznie jeden na jednego Polaka oddycha powietrzem. To bardzo duży odsetek, dlatego powietrze również powinno stanowić element naszego zainteresowania.

W różnych częściach kraju lubimy z powietrzem eksperymentować. W Warszawie i innych większych metropoliach oddycha się snobizmem, sukcesem i spaliniami z samochodów. Będąc na Śląsku lub w Małopolsce, łatwo zauważyć, że tubylcy często dodają do atmosfery duże ilości spalonych węgla i plastikowych śmieci, tworząc urokliwe szare chmurki zalegające w dolinach. Na wsiach zapachy się mieszają. W niektórych miejscach czuć płonące opony, w innych tylko przemoc domową. Na „ścianie wschodniej”, zwłaszcza na Podlasiu, najczęściej czuć homofobię, antysemityzm i lekki odór obornika. Większość z tych dodatków do powietrza Polacy nazywają smogiem, inne patriotyzmem. Skupmy się na pierwszym.

Ostatnie globalne opracowanie na temat smogu powstało w 2016 r. Światowa Organizacja Zdrowia przeanalizowała stan powietrza w 4300 miastach na świecie. I choć nie jesteśmy liderami, nawet europejskimi, sytuacja nie jest fajna. Ponad 70 proc. polskich miast regularnie przekracza normy jakości powietrza. Gorzej jest w Bułgarii (83 proc.) i w Turcji, gdzie prawie 90 proc. miast oddycha zatrutym powietrzem.

Skutki są bolesne. Ledwie kilka dni temu w TVN 24 informowano o wynikach badań krakowskich i nowojorskich naukowców. Płody rosnące w trutych smogiem kobietach są mniejsze, mają też mniejszą pojemność płuc. Astma, alergie, nowotwory i częste infekcje układu oddechowego to już skutki, które za życia będą doskwierać coraz większej części populacji, a kryzys, choć odczuwalny co roku, może przybrać na sile. Przekroczone o 200 czy 300 proc. normy są szkodliwe i odczuwalne przez sporą część społeczeństwa. Jednak deszcz czy wiatr często przepędzają trujące toksyny. Co się stanie, gdy pogoda zawiedzie i dopadną nas chłód oraz kilkudniowy przestój powietrza? Czy na wzór Londynu z 1952 r., gdy smog wymordował 12 tysięcy mieszkańców miasta, udusimy się w spalinach? Bardzo możliwe. Ta zima na razie jest łagodna, łącznie mieliśmy może kilkanaście dni ze znacząco podwyższonymi normami syfiastego powietrza. Za rok, może 2, gdy przekroczymy normy kilkunastokrotnie, bardzo prawdopodobne, że dogonimy wreszcie Zachód.

W tej kwestii także możemy liczyć na tych, którym naród powierzył sprawowanie władzy. Do nastania Prawa i Sprawiedliwości w Polsce powoli, ale sukcesywnie rozwijał się przemysł elektrowni wiatrowych – bezemisynnej energii, która uniezależniała nas od dostaw surowców z zagranicy, a konkretniej zza wschodniej granicy. Wprowadzone przez rząd Beaty Szydło przepisy nakazujące budowę wiatraków w odległości nie mniejszej niż dziesięciokrotność wysokości konstrukcji od zabudowy wyhamowały ten zaletek rozwoju. Dane GUS nie pozostawiają wątpliwości, w 2016 r. moc z energii wiatrowej osiągnęła poziom ponad 12 500 GWh, rok później wzrosła do prawie 15 tys., aby w 2018 r. zaliczyć największy w historii spadek procentowy i wrócić do poziomu niespełna 13 tys. GWh. To ogromne zahamowanie, zwłaszcza że za Platformy te wyniki w rok się podwajały.

Choć ten ekowycinek ciągnie się bez końca, to wciąż jedynie wycinek problemu. Wycinek jednak bardzo istotny.

Masowe media z zamiłowaniem pierdola o przyszłych pokoleniach i ratowaniu wszystkich gatunków przepiórek czy innego tałatajstwa. Prawda jest taka: gównu nas one obchodzą,

a katastrofa klimatyczna zrujnuje nie tylko życie bażanta zwyczajnego i dziko żyjących zwierząt w Mozambiku. Zrujnuje ona życie Twoje i moje. A to już się liczy.

ADAM LISZEWSKI

TRYBUN@
LUDZI

Jakieś pomysły na przeszkadzanie Dudzie w kampanii?



Facebook

Marek Koziół: Coś do podpisania bym podrzucił, jakieś tyśiące stron wymagające co najmniej parafki zajmą go na długo.

Waldemar Słowinski: Wszystkie sztuczki wykorzystano PiS 5 lat temu, ale można kopiować i poprawiać, licencja niepotrzebna.

Karol Mackiewicz: Samochód chłodnia! Będzie przechodził obok, zajrzy, zatrześnie się w środku.

Jakub Dorosz: Trzeba go regularnie chwalić za emocjonującą przemowę. Im więcej, tym dla niego gorzej.

Przemysław Grzenkowicz: Wystarczy rozsypywać andruty. Będzie zajęty ich zbieraniem, zapomni o kampanii.

Filip Kłodawski: Tłitować z nim do rana, żeby się nie wyspał.

Mieszko Cthul: Trzeba by się chajtnąć z młodą, może to by odwróciło uwagę starego.

Dawid Twardowski: Wystanie Andrzeja Dudy bez tłumacza do Ameryki i rozmowy z Donaldem Trumpem.

Basia Rutkowska: Na wiecu wyborczym Dudy kichnąć i krzyknąć: „Pozdrowienia z Chin!”.

Łukasz Wójciak: Nie trzeba przeszkadzać Dudzie w kampanii. On wystarczająco sobie szkodzi.

Tomasz Kowalski: Przewiązać hostię sznurkiem i ciągnąć – jak stary sposób z portmonetką.

Maria Elżbieta Sankowska: Jak tylko będzie próbował coś mówić, intonować głośno: „Boże, coś Polskę...”.

Arkadiusz Chmiel: Można chodzić po autografy – na pewno podpisze.

Adam Kowalski: Karton długopisów rozsypać, na pewno będzie zbierał.

Hubert Ciba: Zaprosić Stonogę na wiec Dudy.

Jakub Spólnik: Zapytać go, czy zna jakiś żart.

Wojciech Sosnowski: Podłożyć mu poduszkę pierdzuszkę, ale będzie ambaras.

Dominik Orłowski: Ogólnopolska akcja policji „Bezpieczny autokar”.

Joanna Nikola: Rozpraszać gada wieńcami, Anżej kocha wieńce.

Forum

de_mol: Teraz opozycja może Dudzie już tylko nagwizdać.

Oska QqRydz-QqC: Dudy. Taki piskliwy instrument muzyczny. Też dęty.

st111: Zakonnica w ciąży na przejściu może pomoże?

BOG: Niech mu Michnik czyta konstytucję.

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.

– **I po co to Pani było?**
– Nie żałuję.

– „**Kto podnosi rękę na Kościół, podnosi rękę na Polskę**”. Nie słyszała Pani?
– Słyszałam.

– **To poproszę jeszcze raz całą historię. Po kolei.**

– Afera zaczęła się wiosną 2013 r., gdy rozniosło się, że szkołę w Krapkowicach, w której uczyłam ponad 30 lat matematyki, ma odwiedzić biskup. Mnie wtedy nie było nawet w pracy, przebywałam na urlopie zdrowotnym. Miejsce wyproboszcz, aby przypodobać się hierarchom, postanowił powiesić krzyż w centralnym miejscu pokoju nauczycielskiego. Przeprowadził konsultacje, czyli zapytał o zdanie najgłębiej wierzących nauczycieli. Tych, którzy mogli mieć coś przeciw, w tym mnie, ominął.

– **Roztropnie.**

– Po wakacjach, dawno już po odwiedzinach biskupa, postanowiłam ten krzyż zdjąć. Przyczyna ustała, kaprys księdza został zaspokojony, a dla mnie było to zawłaszczanie przestrzeni i w pewnym sensie wykluczanie osób niewierzących. Zawsze uważałam i tak uczyłam dzieci, że świat należy zaczynać naprawiać od siebie. Zamiast narzekać, że nic się z czymś nie robi, trzeba brać sprawy w swoje ręce. Sądziłam – a znałam innych nauczycieli wiele lat – że moje zachowanie nie wzbudzi kontrowersji.

– **Nocą Pani ten krzyż zdjęła?**

– W biały dzień, przy świadkach. Podstawiłam krzesło, zdjęłam krzyż, odłożyłam go na szafkę, nikt nawet nie zwrócił uwagi. Minął ponad miesiąc, ksiądz akurat wrócił z urlopu i jedna z bardziej religijnych nauczycielek zaczęła się dopytywać, co się stało z krzyżem. Przyznałam, że to ja go zdjęłam, bo w miejscu pracy mam prawo nie oglądać cudzych symboli religijnych. Sądziłam, że to wszystko. Sprawa rozeszła się po kościołach.

– **Kiedy zaczęto układać stos?**

– Kilka dni później ogłoszono, że na długiej przerwie odbędzie się nadzwyczajne zebranie. Udawano przede mną, że nie wiadomo, o co chodzi. Ktoś krzyż znów powiesił. Ponownie go zdjęłam.

– **Recydywa...**

– Położyłam go na stoliku, przy którym siedał zwykle ksiądz, aby go zabrał ze szkoły. Zwołano nauczycieli, dzieci stłoczono na jednym korytarzu pod opieką woźnych. Stan wojenny wprowadzili!

– **Czego się Pani spodziewała?**

– Czułam lęk. Ponad 50 osób w sali, absolutna cisza, wkracza dyrektorka. I mówi: zebranie zostało zwołane na wniosek większości nauczycieli, oburzonych zdjęciem krzyża. Wiemy już, kto ośmielił się to zrobić. Nastąpiła przemowa o krzyżu, o jego wspianiałych wartościach, cytaty z Jana Pawła II. Spodziewano się, że nawet nie ośmielę się pisać. Ale zabrałam głos.

– **Odważnie.**

– Powiedziałam, że dla mnie krzyż to nieprzyjemny symbol przemocy, okrucieństwa i śmierci. Wywołuje we mnie złe skojarzenia i źle się przy nim czuję.

– **Nie wywieźli Pani na tacze?**

– Wybuchła zbiorowa histeria. Że jak ja mogę na Boga mówić, że to jakieś ciało na krzyżu wisi. Głos zabrali nauczyciele i zaczęli wyrzucać z siebie to, czego nie wypadało dyrektorce. Że to była pospolita kradzież, którą trzeba zgłosić do prokuratury! Że przecież w szkole nieraz ginęły różne rzeczy. I zastanówmy się wobec tego, kto je kradnie!

– **Jak to kto? Pani!**

– Dziś mnie to śmieszy, ale wtedy myślałam, że to się nie dzieje naprawdę. Okrzyki, że jak Boga nie ma, to już wszystko wolno! Że jak ja mogę wychowywać młodzież! Stalinowskie zebranie partyjne i nakłanianie, aby rugany złożył samokrytykę.

– **Wcześniej nikt nic do Pani nie miał?**

– To wszystko byli moi przyjaciele, znajomi. Pracę w zawodzie rozpoczęłam w 1983 r., uznawana byłam za jedną z najlepszych nauczycielek w szkole. Cieszyłam się powszechnym szacunkiem. Skończyłam zarządzanie oświatą, szkoliłam nauczycieli na konferencjach, byłam egzaminatorką z wieloletnim stażem. Dostawałam nagrody od dyrekcji, czasem okolicznościowe od uczniów. Cenili mnie również rodzice.

– **I wszystko posypało się przez krzyż?**

– Traktowałam współpracowników jak dorosłych, wykształconych, zrównoważonych emocjonalnie ludzi. Tymczasem wylało się z nich coś takiego. Dziś sądzę, że było to w dużej części wyrachowane. Chcieli przypodobać się dyrektorce, działacze rady parafialnej, a ta z kolei burmi-

Ukrzyżowana

O mściwym Ziobrze, który dzięki reformie sądownictwa wreszcie będzie mógł ją dorwać, „NIE” rozmawia z **GRAŻYNĄ JUSZCZYK**, nauczycielką, która 7 lat temu odważyła się zdjąć krzyż w szkole.



nie). Ksiądz próbował mobilizować rodziców, aby jeździli na rozprawy z różańcami. Pierwszy prawnik, losowo wybrany przeze mnie z internetu, odmówił zajęcia się sprawą, mówiąc że w Polsce nie da się tego wygrać. Pomogły mi dopiero organizacje pozarządowe, przede wszystkim Fundacja Wolność od Religii i Polskie Towarzystwo Prawa Antydyskryminacyjnego.

– **Kiedy zapadł wyrok?**

– W pierwszej instancji, we wrześniu 2016 r. Wygrałam. Dyrektorka powołała mnóstwo świadków, przedstawiała donosy na mnie od indywidualnych nauczycieli. Wszystkie, co ciekawe, miały datę wpływu po konflikcie o krzyż. Dostałam 5 tys. zł odszkodowania i przeprosiny w lokalnych mediach.

– **Szkola zaskarżyła wyrok?**

– Zmienił się dyrektor, złożył apelację, twierdząc, że musi, bo chodzi o pieniądze publiczne. Na tym etapie do sprawy włączyła się nieoczekiwanie prokuratura regionalna, i to aż z Wrocławia. Nikt nie prosił jej o interwencję! Znow wygrałam, był styczeń 2017 r. Wyrok się uprawomocnił. Zgodnie z prawem nie przysługiwało odwołanie do Sądu Najwyższego. Uznałam, że to koniec i żyłam dalej. Pracowałam przez cały czas z otwartą przyłbicą, a po uprawomocnieniu ze względu na problemy z sercem przesłam na wcześniejszą emeryturę.

– **Kiedy do sprawy włączył się Sąd Najwyższy?**

– Po kilku miesiącach dostałam informację, że sąd apelacyjny przekazał moją sprawę do Sądu Najwyższego w związku ze skargą kasacyjną prokuratury. Oniemiałam! Prawnicy mówili, że gdybym domagała się powyżej 50 tys. zł odszkodowania, wtedy sprawa byłaby trójinstancyjna. A mi chodziło o symboliczne 5 tys. zł, nie chciałam rujnować budżetu szkoły. Aż tu nagle w sprawę miał być włączony Sąd Najwyższy! Moi prawnicy odpisali, że wniosek prokuratury powinien być odrzucony. Sąd Najwyższy zajął się jednak sprawą na posiedzeniu niejawnym i w orzeczeniu z listopada 2018 r. podtrzymał moje racje w całości.

– **I wtedy z kapelusza wyskoczył Ziobro.**

– 7 listopada 2019 r. upłynął rok od orzeczenia Sądu Najwyższego. Teoretycznie Ziobrze minął już termin na skargę nadzwyczajną według nowych przepisów, ale czy działał w tej sprawie wcześniej, tego nie wiem. Pierwsze doniosły o tym wyjątkowym zwrocie akcji, co znamienne, Polskie Radio i TVP Info. Czyli dowiedziały się o szczegółach wcześniej niż ja, strona postępowania. Usłyszałam o tym z mediów.

– **Po co PiS-owi ta zabawa z Panią?**

– Może chodzić o zbliżające się wybory prezydenckie. O ponowne dzielenie ludzi przez PiS, a wokół krzyża robić to jest bardzo łatwo. Już przy pierwszym spotkaniu z Sądem Najwyższym, a było to po zamachu na sądy, zastanawiałam się, gdzie moja sprawa trafi. Czy decyzja zapadnie w sali sądowej, czy może w jakimś ministerialnym gabinecie. Czułam się oszukana przez państwo; wciąż mnie pytano, czy mam wreszcie tę rację, czy nie. Po orzeczeniu Sądu Najwyższego byłam przekonana, że to koniec, wygrałam, sprawa jest zamknięta, nie ma co rozdrapywać ran i będę żyć w lokalnej społeczności dalej. A tu proszę! Czy dziś Sąd Najwyższy może pozwolić sobie na niezawisłość? Wiemy chyba wszyscy. Spodziewam się najgorszego.

– **Czyli czego?**

– Nie dostałam żadnego zawiadomienia. Sprawa będzie zapewne rozpatrzona zaocznie. Nie będzie wysłuchania stron, będzie można jedynie składać pisma. Wszystko w tej przeciwieństwa sprawie już zostało powiedziane. Ale państwo PiS mnie atakuje. Wyrządza się też krzywdę szkole. Każdy ma chyba prawo do tego, aby być osądzonym i po wyroku patrzeć już wyłącznie w przyszłość. Wydaje mi się, że stać musi za tym oprócz ministra jakiś ważny hierarcha kościelny, może Ordio Iuris.

– **Ludzie w mieście już nie szepczą na Pani widok?**

– Zawsze byłam taka sama. Nie przyjmowałam księdza po kolędzie, nie chodziłam do kościoła. Nikt nie mógł więc powiedzieć, że zwariowałam albo zapragnęłam sławy. Sukces ma jednak wielu ojców, także w tym wypadku. Dopiero po korzystnych orzeczeniach dowiedziałam się, jak wiele osób mnie popierało od początku.

– **A ten przeklęty krzyż w szkole wisi czy nie wisi?**

– Nie wiem i szczerze mówiąc, nie ma to już nic do rzeczy. Nie o krzyż bowiem tu chodzi, ale o to, by w polskim orzecznictwie nie pozostał wyrok, na który mogliby powołać się kiedyś inni sędziowie. Tego PiS boi się najbardziej.

strzowi miasta, który w kościele jest szafarzem, czyli jako świecki udziela komunii.

– **Ktoś trzymał Pani stronę?**

– Z 52 osób nikt nie odważył się wziąć mnie w obronę. Dopiero później, przed sądem 5 nauczycielek stanęło po mojej stronie. Wymagało to od nich dużej odwagi, za co jestem wdzięczna.

– **Krzyż wrócił na miejsce?**

– Tak, powieszono go ponownie.

– **A jak podchodzono do Pani?**

– Zaczęto mnie traktować jak trędowatą. Szepetano na mój temat, a gdy gdzieś przychodziłam, rozmowy milkły. Zaczęłam mieć kłopoty z sercem, z ciśnieniem. Poszłam na zwolnienie, ale postanowiłam też zanieść burmistrzowi skargę na dyrektorkę. Ten westchnął i zapytał, czy jestem w stanie anulować skargę, jeśli dyrektorka mnie przeprosi. W ciągu tygodnia nic się jednak nie wydarzyło, później przestał odbierać telefony.

– **Przeprosiła?**

– Skąd! Zawiadomiłam kuratorium. Bałam się, że kilka lat przed emeryturą w wyniku jakiejś intrygi wylecę z pracy. Kuratorium nie zajęło stanowiska, burmistrz przekazał sprawę radnym, a to spowodowało, że sprawa stała się w regionie głośna. Zarzucano mi, że szukam rozgłosu. Dziennikarz lokalnej gazety zeznał potem przed sądem, że to nie ja nagłośniłam sprawę.

– **Jaka była reakcja społeczności?**

– Taka, że 44 nauczycieli napisało swój artykuł podpisany jako „grono nauczycielskie”, w któ-

rym stwierdzili, że krzyż nie podoba się w zasadzie tylko takiej jednej. To nauczycielka, która notorycznie i świadomie łamie wszelkie normy obowiązujące nauczycieli.

– **I co Pani zrobiła?**

– Dzwoniłam do konkretnych osób i pytałam, jakie według nich normy łamałam przez tyle lat pracy w szkole. Byli oburzeni, jak mogę telefonować i zadawać niewygodne pytania. Dyrektorka wręczyła mi upomnienie. Nie miała mi tam jednak nic do zarzucenia, nie spełniało to więc nawet wymogów formalnych. Złożyłam skargę, upomnienie zostało cofnięte, ale nikomu o tym nie powiedziała. Chciałam, aby o cofnięciu upomnienia dowiedzieli się wszyscy, a do tego nie doszło.

– **Uspokoilo się?**

– Skąd. Pracowałam cały rok, narastały problemy z sercem. Jedną z bardziej niesfornych klas krzyczała na mój widok: „Gdzie jest krzyż?!”. Radni nie zajęli się moją skargą, ciągle wnosił o jakieś bzdurne uzupełnienia, koniec końców odmówili zajęcia się sprawą. Wojewodzie odpisali, że nie mogą tego rozpatrzyć, bo skarga jest na nich! A przecież była na dyrektorkę. Spotkało mnie szalejące lokalne robienie kpin z prawa, takie, jakie mamy teraz w całej Polsce.

– **Kiedy wniosła Pani sprawę do sądu pracy?**

– W lutym 2014 r. W kodeksie pracy istnieje zapis, że dyskryminowaniem jest niepożądane zachowanie, którego celem lub skutkiem jest naruszenie godności pracownika i stworzenie wobec niego zastraszającej, wrogiej, poniżającej, upokarzającej lub uwłaczającej atmosfery (molestowa-

FOT. NEWSKPL

Posłankę lewicy terroryzuje podpalacz. Ale pożar ma podłoże polityczne tylko wówczas, gdy jego ofiarą jest pisowiec.

W mieszkaniu posłanki Małgorzaty Prokop-Paczkowskiej z Wiosny (teraz Nowa Lewica) wybuchły 2 pożary. Jeden na pewno był rezultatem podpalenia, drugi prawdopodobnie. Gdyby w ogniu stawał kwadrat Beaty Kempy, do roboty zabrałaby się Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego do spółki z Centralnym Biurem Śledczym Policji, Mariusz Kamiński ze Zbigniewem Ziobrą stawaliby na głowie, aby przymknąć sprawcę i mocodawców, zaś telewizja publiczna urządziłaby przedstawienie pt. „Mowa nienawiści opozycji totalnej zbiera żniwo”. Prokop-Paczkowska nie jest posłanką partii rządzącej, podpalacza ściga więc skromny komisariat policji, a telewizja publiczna milczy jak grób.

Majątny biznesmen

Małgorzata Prokop-Paczkowska od 1997 r. mieszka na pięttrze poniemieckiej willi przy Wyspiańskiego w Szczecinie. Parter zajmowała Leokadia M., ale 5 lat temu zmarła i Gizela, córka nieboszczki, postanowiła sprzedać nieruchomość. W zeszłym roku nabywcą został 35-letni Dariusz X. (imię i inicjał nazwiska zmienione). Z dokumentów wynika, że zapłacił 580 tys. zł, jak na Szczecin kwotę niemałą, ale ulica Wyspiańskiego to reprezentacyjny, czyli drogi, kawałek miasta. Nowy właściciel parteru przedstawił się Prokop-Paczkowskiej, wtedy jeszcze działacze Wiosny, jako majątny biznesmen („mam 250 milionów na giełdzie”) i człowiek wysokiej kultury („dzieci posyłam do prywatnych szkół”). Stwierdził także, że willa bardzo mu się podoba i chciałby mieć całą dla siebie. Zaproponował, iż kupi część należącą do Prokop-Paczkowskiej. Prokop-Paczkowska odmówiła. Jesienią została posłanką, co związane jest z częstymi wyprawami do Warszawy. Szczecińskie mieszkanie często pozostawało bez nadzoru. Dariusz X. nie wprowadził się do poniemieckiej willi ani nawet się tam nie zameldował. Utrzymywał, że najpierw wynajmie firmę, która wykona stosowne prace remontowe, ale okazało się, że zamiast firmy za remont zabrał się Hiacynt X. (imię i inicjał nazwiska zmienione), 23-letni brat Dariusza. Prokop-Paczkowska była nieco zdziwiona, bo ktoś z 250 milionami na koncie raczej nie wynajmuje brata, ale bogacze bywają przecież ekstrawagancy.

Willa w pożodze

Gdy 4 grudnia o pierwszej w nocy dryndnęła komórka, Prokop-Paczkowska była w Warszawie. Dzwonił

Wiosna w ogniu



że chętnie złoży zeznania, lecz dopiero po Nowym Roku, gdyż właśnie bawi w Berlinie. Kłamie, albowiem nie przebywa w stolicy Niemiec – wkrótce po rozmowie funkcjonariusze zatrzymują go w Szczecinie nieopodal mieszkania brata. Prokuratura występuje do sądu z wnioskiem o zastosowanie aresztu tymczasowego w związku z możliwością mataczenia oraz uzasadnioną obawą ucieczki i ukrywania się podejrzanego. Sąd godzi się na 2-miesięczną sankcję.

Pachnie kłapą

Śledztwo w sprawie sprowadzenia zdarzenia zagrażającego życiu lub zdrowiu wielu osób albo mieniu w wielkich rozmiarach prowadzi Prokuratura Rejonowa Szczecin-Niebuszewo z policjantami z niebuszewskiego komisariatu. Podpalaczowi grozi do 10 lat puchy, ale jeśli nic się nie zmieni, najpóźniej 29 lutego Hiacynt X. wyjdzie z aresztu i gdy najdzie go ochota, zażąda od skarbu państwa odszkodowania za bezzasadne pozbawienie wolności. Dziewczyna Hiacynta zeznaje bowiem, że w czasie pożaru była w jego towarzystwie. Na dodatek jego adwokat przyniósł do prokuratury klucze od drzwi wejściowych do willi, twierdząc, iż były one, tak jak klucze znalezione podczas pożaru, w gablotce znajdującej się w firmie należącej do Dariusza X., zatem dostęp do nich mieli wszyscy pracownicy. Innymi słowy daje do zrozumienia, że klucze, które X. otrzymał w momencie zakupu parteru, mogły zostać użyte przez inne osoby.

Prokuratura czeka na ekspertyzę ubrania Hiacynta X. – jeżeli nie będzie na nim śladów substancji powstających w czasie pożaru, organa ścigania zostaną z niczym, bo kłamstwo Hiacynta, że jest w Berlinie, choć był niedaleko mieszkania brata, nie nadaje się nawet na poszlakę. Śledczy coraz częściej przebakują, że to nie on podłożył ogień, dodając, że znalezienie chętnego do wykonania takiej roboty to żaden problem, bo w Szczecinie za 50 zł można wynająć zabójcę, a co dopiero podpalacza, ale konkretnych następców Hiacynta X. nie wskazują. Zanosi się na totalną kłapę. Oby organa ścigania serio zabrały do roboty, zanim ktoś zginie w płomieniach albo w innych frapujących okolicznościach.

Postać interesująca

Kłapy można byłoby uniknąć, gdyby uwagę skupiono nie na wykonawcy, ale na zleceniodawcy. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem lub agentem Tomkiem, aby pojąć, że jedyną osobą mającą interes w puszczeniu z dymem

willi zamieszkałej przez posłankę jest Dariusz X. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta: **Pożary miały wypłoszyć Prokop-Paczkowską i skłonić ją do sprzedaży należącej do niej części budynku, prawdopodobnie wchodziło też w grę odszkodowanie z tytułu polisy ubezpieczeniowej**

(parter kupić na kredyt, a warunkiem jego otrzymania było ubezpieczenie nieruchomości). Dariusz X. to ze wszech miar postać interesująca. Z Krajowego Rejestru Sądowego wynika, że występuje jako współnik, akcjonariusz, prokurent lub reprezentant zarządu w przypadku szesnastu firm zajmujących się m.in. edukacją sportową, wsparciem energetycznym, doradztwem podatkowym, produkcją komputerów i oprogramowania, a także kupnem i sprzedażą nieruchomości. Wiadomo, że chciał kupić nie tylko część willi od Paczkowskiej, ale także inne nieruchomości w tym rejonie Szczecina, np. wystawiony na sprzedaż dom należący do sąsiadki posłanki. Dariusz X. poszedł do biura nieruchomości pośredniczącego w transakcji i zaproponował pracownikowi, że jeśli skłoni właścicielkę do obniżenia ceny, wręcz mu sowitąłapówkę. Miał pecha – propozycję złożył synowi właścicielki. Gdy sprawa się rypla, odgrażał się, że wszystkich z Wyspiańskiego i tak prędzej czy później wysiedzi. Radzimy: od Dariusza X. lepiej trzymać się z daleka, zwłaszcza że organa ścigania wykazują dalece idącą nieporadność, a pracownikowi biura nieruchomości, do którego pechowo skierował propozycję korupcyjną, na dobry początek nieznani sprawcy wybili szyby w aucie.

Penis z podtekstem

Posłanka Wiosny mieszka u matki, bo po drugim pożarze jej mieszkanie nie nadaje się do użytku. Dariusz X. przysięga, że z podpaleniem nie ma nic wspólnego i sugeruje, iż pożar ma podłoże polityczne. Prokop-Paczkowska uważa, że podłoże jest kryminalne, co ją odróżnia od pisuarów, politycznego podtekstu dopatrujących się nawet w penisach malowanych na siedzibach ich biur poselskich, bo, jak wiadomo, każdy wybryk chuligański, o pożarze nie wspominając, motywowany jest politycznie, jeśli ofiara należy do obozu dobrej zmiany. Nie zmienia to faktu, że impotencja organów powołanych do walki z przestępcami z pewnością ma polityczną wymowę. Choćby dlatego że skoro w pisowskim państwie bandzior może bezkarnie nastawać na posłankę Wiosny, to lepiej sobie nie wyobrażać, co może zrobić zwykłym Polakom.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Wojciech Dariusz K., emerytowany chorąż Wojska Polskiego, najpierw chciał ukatrupić Bronisława Komorowskiego, a od maja 2015 r. prezydenta elekta Andrzeja Dudę. Strzelać zamierzał również do posłów i senatorów wszystkich opcji, ale szczęśliwie został zatrzymany i tymczasowo aresztowany w czerwcu 2016 r. Tekturowe państwo PiS dało ciała 2 lata później.

Sąd Okręgowy w Olsztynie we wrześniu 2018 r. wymierzył K. karę 4 lat i 8 miesięcy pozbawienia wolności za „przygotowania do usunięcia przemocą konstytucyjnych organów państwa” (art. 128 kodeksu karnego) oraz posiadanie bez stosownych zezwoleń dziesiątków sztuk broni, kilogramów amunicji, substancji wybuchowych i urządzeń do inicjowania eksplozji. Chorąż, dorabiający na wojskowej emeryturze jako kominiarz z uprawnieniami, podupał jednak na zdrowiu i decyzją sądu opuścił areszt, aby się podleczyć na wolności w oczekiwaniu na proces odwoławczy.

Sąd Apelacyjny z Białegostoku w orzeczeniu z czerwca 2019 r. podtrzymał wyrok sądu pierwszej instancji, ale Wojciech Dariusz K. do pudła na odsiedzenie reszty zasądzonej kary

nie zamierzał wracać. W sierpniu zeszłego roku, gdy w więzieniu umierał pierwszy potencjalny zamachowiec III RP Brunon Kwiecień, a kampania parlamentarna nabierała rozpędu,

60-latek rozpytnął się nagle w powietrzu. O miejscu jego pobytu nie wiedziała ani policja, ani podlaska delegatura Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ani nawet wojskowy kontrwywiad,

który w kompetencjach ma m.in. walkę z terroryzmem trepów, także emerytowanych.

W opinii sądu drugiej instancji Wojciech Dariusz K. „pomimo zatrzymania i tymczasowego aresztowania, trwał w dalszym ciągu w zamiarze, nie ujawnił ukrytego arsenału

broni, co pozwala przypuszczać, że i dzisiaj pozostaje deklaratywnie bezkrytyczny do popełnionych czynów”. Sytuacja była więc groźna. Portret mieszkańca podolsztyńskiej Purdy w uzasadnieniu wyroku został nakreślony tak: „Należy podzielić stanowisko oskarżenia, że W.K. towarzyszyła głęboka wrogość i nienawiść do przedstawicieli tych podmiotów oraz subiektywnie widział zagrożenie ze strony tych demokratycznie wybranych organów dla dobra Polski na kształcie przez siebie wyobrażonym. Przewidując nieuchronność konfliktu zbrojnego, uważał, że należy przygotowywać się do walki, chociaż zakładał i planował podejmowanie akcji siłowych także w warunkach pokojowych. Zamieszczając w internecie zdjęcia karabinu opatrzonego komentarzem o treści: »Dziś demokrację w Polsce – i nie tylko może zaprowadzić tylko to narzędzie«, wyrażając niezadowolenie z panującej sytuacji politycznej w państwie i stosunek do organów władzy państwowej, w spo-

sób wyraźny prezentował zamiar i motywację działania”. Zespół poszukiwań celowych Komendy Wojewódzkiej Policji w Olsztynie zatrzymał Wojciecha Dariusza K. pod koniec października zeszłego roku. Nie stawiał oporu. Nie odnaleziono przy nim tym razem faszystowskich gadżetów. Te zabezpieczone przy pierwszym zatrzymaniu w 2016 r. przeszły wcześniej na własność Podlaskiego Wydziału Zamiejscowego Departamentu ds. Przestępczości Zorganizowanej i Korupcji Prokuratury Krajowej w Białymstoku. To 6 chust ze swastykami, 3 w kolorze białym i 3 w czarnym. K. wyjdzie na wolność najpewniej w roku wyborczym 2023. Chyba że w międzyczasie niespodziewanie powiększy grono aniołków – jak jego mistrz Brunon Kwiecień. Miłośnicy teorii spiskowych z Obozu Narodowo-Radykalnego, którego jest sympatykiem, czekają tylko na okazję. Będą mieli wtedy drugiego mężczyźnika za wiarę w walce z lewactwem i żydokomuną.

WJK

Daniszewska: – A co ty robisz w Jastrzębiej w środku zimy? I do tego takiej gównianej?

Wołk-Łaniewska: – Piękna zima do biegania po plaży.

– Coś ty, bez śniegu?
– Wiem, Małgosiu, że jesteś ze wschodu i po śniegu biegasz boso, ale normalnym ludziom z centralnej Polski nogi marzną. I ręce, i uszy. Toteż przyjeżdżając na wczasy dietetyczno-kondycyjne...

– Jakie?
– No, kurwa, odchudzające, czy ja muszę ci wszystko dużymi literami tłumaczyć? Nie mogłabyś mi pozwolić zachować odrobinę nimbu tajemniczości?

– Na to chyba jest za późno.
– Po dwudziestu latach pracy w tygodniu „NIE” zapewne jest. W każdym razie jestem sobie w Jastrzębiej Górze i bardzo sobie chwalę. Tu nawet jest znakomity chłód masażysta z upodobaniami retro...

– Leci na ciebie?
– Muzykę retro puszcza! Solidny masaż z Wodeckim w tle – bezcenne. A co tam nowego na Podlasiu?

– „O pokój i zgodę w narodzie polskim prosimy cię panie 1947 rok”.
– To raczej starsza nowość.

– Taki krzyż postawił w swojej wsi przyjaciel mojej rodziny. Nazywa się Leszek Kożuszek i taki jest tytuł jego książki. Przysłał mi ją z liścikiem: „Małgosiu, jak już dojdiesz do kościoła, to będzie ci potrzebna książeczka do nabożeństwa”. Trudno było mi go znaleźć. Ale udało się. Wzruszenie było po dwóch stronach telefonów. Sądziłam, że nie widziałam go od lat 60. Okazało się, że spotkalismy się już w późnych 80. w stowarzyszeniu dziennikarzy. Leszek podszedł i przywitał się. Może go nie poznałam? Teraz opowiada: – Słyszałem, że jesteś opozycjonistką. A nie znosiłem takich! I potem mój kumpel pyta: „A skąd znasz żonę Urbana?”. Szukałem cię, ale już wyszłaś.
– Urban, a zawsze narzekasz, że Urban ci opinię psuje wśród znajomych. A tu proszę, odzyskałaś twarz po potwarzy opozycjonizmu.

– Tak się cieszę, że przeczytałam jego książkę. Nie sądziłam, że jest taki zdolny. A może jestem taka nostalgiczna, bo przecież Kalinówka Kościelna to jak gdyby Niewodnica Kościelna. I przez tę książkę weszłam w świat młodości. Pamiętam: balujemy z Edkiem Redlińskim. Pijemy orzechówkę, bo on wtedy trafił na pamiętniki księgowej, która to piła. Karaluchy biegają po ścianach.
– Gdzie?

– Jak to gdzie? U Edka. Nad ranem postanawiam udać się spać do domu. Edek elegancko mnie odprowadza. Rodzice, już obudzeni, witają mnie i Edka serdecznie. Ojciec proponuje mu owsiankę, którą właśnie ugotował. Edek wołał lufę. Mój ojciec abstynent nalewa szklaneczkę czegoś z kredensu. Poszłam spać na górę, bo nieco byłam sterana.

Dialogi dam w drodze do kościoła

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA stawia się Sabinie w Jastrzębiej Górze, a GOŚKA DANISZEWSKA pławi się w swoim Podlasiu. Trochę się z nim żegna, ale ciągle wraca. Wszyscy jesteśmy z Białegostoku.



ilustr. WŁODEK WIERUS

Gersdorf, albo zarzucasz mi głosowanie na Dudę. Ten typ mentalności Strzelecki opisuje następująco: „Prawa polityki wynikają z poddania stosunków między ludźmi pod władzę kategorii »wrog« i »przyjaciel«. Przekonania człowieka bezstronnego, tzn. w tym przypadku wolnego od uległości jakiegokolwiek moralności »swoich«, odczuwane są przez wyznawców »wyższej« moralności jako niebezpieczniejsze od przekonań wroga”.

– Typowe pierdolenie symetri-
stów.

– No. I „wyciągnięcie ręki do zgody z reakcją”, żeby zacytować towarzysza Wiesława. A propos: dostałam list w sprawie symetryzmu, który ci chciałam zacytować. Niestety nie wzięłam go ze sobą nad morze, cytata więc nie będzie dosłowny, ale Czytelniczka napisała mniej więcej tak: „Czy ciebie już do końca pogrzało?”. I potem wyłożyła mi starannie, że Borys Budka jest inteligentny, dobrze wychowany i bardzo przystojny, a ja krytykując go, staję się wodą na młyn odwetowców z PiS.

– A to szkoda, że nie do mnie napisała, bo zgodziłabym się skwapliwie. Ale za to w sprawie twojego tekstu o Budce Borysie napisał do mnie pan Filip. Całkowicie się zgadza z twoją opinią, a żona go wspiera.
– Brawo!

– Odpisałam mu, że nie znasz się zupełnie na facetach i dlatego jesteś ciągle dziewczą. Wyobraź sobie, Wołku, że człowiek nie wierzył! Przecież nie masz ani męża, ani dzieci, to jak to inaczej tłumaczyć? Teraz ty się wytłumacz, bo ja mam dosyć świecenia za ciebie oczami.
– Ani mi się śni. Świeć dalej.

– To wytłumacz mi chociaż, jakiego haka mają na tego Dudę? Jakiego haka ma Banaś na resztę? Przecież nie wszyscy są takie durne memloki. Oni się po prostu boją. Wracając do zdarzeń ważnych: wczoraj w tefalenie usłyszałam, że dwóch dorosłych mężczyzn weszło do piwnicy i umarło. Ich matka weszła i od razu zasłała. W piwnicy suszono warzywa. To czym oni suszą te warzywa? Dobrze, że ty i ja nie jesteśmy weganami. Tak nam dopomóż, nieistniejący. □

daniszewska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl

i głównie z tego rozumiałam. A to jest genialna publicystyka. I kompletnie nieśmiertelna. Jak ułał pasuje do dnia dzisiejszego.

– Humanizm socjalistyczny à la PiS?

– Nie, jego przeciwieństwo à la POPiS. Posłuchaj: „Każdy człowiek, każda dziedzina życia podlega ocenie z punktu widzenia swej przydatności do urzeczywistniania celów »klasy polityków«”. Zasady wartościowania politycznej grupy, żyjącej w ciągłym stanie bojowego pogotowia, rozciągane są na całość kultury: na moralność, na naukę, na sztukę, na życie religijne. Polityka staje się naczelną dziedziną życia; bojowość polityczna »swoich« najwyższą wartością. Wobec »obcych« obowiązują zasady, które jeden z niemieckich socjologów nazwał moralnością stolarza wobec nieheblowanej deski”.

– PiS jak malowane.

– Otóż właśnie nie. Strzelecki wyraźnie adresuje ów opis do obydwu stron konfliktu. Pisz o „wyższej moralności”, co jest wyrażeniem jednoznacznie pejoratywnym: „Zbliżone do niej formy działania i typy ludzi, kształtujące się w zgodzie z jej zasadami, pojawiają się z pewną nieuchronnością po obu tzw. stronach barykady w każdym okresie nasilenia społecznych i politycznych antagonizmów”.

– Można powiedzieć, że mamy nasilone.

– Nie tak, jak w 47, pozwalał sobie zauważyć. Na razie nikt od tego nie umarł. Ale słuchaj dalej...

– Jak muszę...

– Musisz: „Chęć znalezienia z przeciwnikiem wspólnego języka jest wynikiem słabości lub humanitarnego zbłąkania, lub wreszcie mętności w pojmowaniu istotnych praw polityki”. Jakbym, kurwa, Platformę widziała. Albo ciebie, jak mnie opierdalas, że nie wielbię profesor

– Co ty powiesz?

– Pisz też Kożuszek, że wysłał z podróży telegramy: „Płyniemy tratwą z Białowieży do Gdańska. Pozdrowienia z Choroszczy”. Musisz wiedzieć, że Choroszcz to takie wariatkowo pod Białymstokiem. Jak Tworki pod Warszawą.

– Wiem, wiem, mój wujek robił tam za doktora od świrów. Kiedyś nawet – takie czasy były – zabrał mnie i swoją córkę, a moją p.o. siostrę, małe wówczas dziewczynki, do pracy. Pamiętam, przysłuchiwałyśmy się zwierzeniom pacjenta, którego wysłano do psychiatry, bo gdy przejeżdżał pociągiem koło swojej wsi, to postanowił wysiąść, żeby pomóc w żniwach.

– I to był problem, gdyż...

– Był maszynistą tego pociągu.

– Aha. Wracając do wspomnień: w Gibach, gdzie spędzałam wakacje, wisił na pocście wzór telegramu: „Przyjeżdżam sobota wieczór wyslijcie konie na dworzec. Jankowski”. I takie telegramy się wysyłało... Leszek Kożuszek ma 90 lat plus. Daj, nieistniejący, mnie i tobie. A taki krzyż „O pokój i zgodę...” przydałby się dzisiaj w niejednej parafii.

– Pewnie chodziło o spory między PPR i PPS.

– Widzę, że czytasz profesora...

– Oj, bo ja wreszcie mam tu czas, żeby usiąść i przeczytać książkę profesora Werblana od początku do końca, nie tak wyrwykami, po spisie treści i indeksie. Czytam. Profesor wspomina, że w tym czasie, w 46 i 47 roku, między PPR i PPS był rzeczywisty konflikt, z władz PPS wyeliminowano agenturę PPR, prasa pepeesowska w zasadzie otwarcie krytykowała linię PPR, drukowała teksty Strzeleckiego o humanizmie socjalistycznym... Swoją drogą przeczytałam sobie jeszcze raz tego Strzeleckiego, którego czytałam, gdy byłam w PPS na początku lat 90.

Z okazji walentynek dla wszystkich romantyków, wyznawców wzniołej i czystej miłości.

Sami dobrze wiecie: miłość miłością, ale cycki to jednak cycki.

Samica człowieka jako jedyna posiada biust, nawet gdy nim nie karmi. U samic innych ssaków wydane pierśsi pojawiają się, gdy są potrzebne – w ciąży i podczas karmienia – a potem znikają do następnego razu. To czyni pytanie o ewolucyjne uzasadnienie tej ludzkiej odmienności szczególnie intrygującym.

Magnes

Podstawowa odpowiedź jest taka, że samica człowieka wyewoluowała biust, żeby przyciągać samców. Za czym przemawia wielokrotnie udowodniana naukowo popularność cycków wśród płci przeciwnej.

Według rozlicznych studiów poświęconych tej jakże istotnej kwestii istnieje silna konkurencja między cyckami średnimi i dużymi, choć wygląda na to, że duże ciągle wygrywają. W najnowszych poważnych badaniach na ten temat, przeprowadzonych w 2013 r. przez parę brytyjskich psychologów Virena Swami i Martina Tovée wśród białych mężczyzn w Londynie, 43,5 procent facetów wołało duże cycki (w tym 19 procent bardzo duże), a 32,7 procent – średnie. Mniej niż co czwarty lubił małe.

Z kolei fascynujące w swojej złożoności badanie, zrobione przez psychologów australijskich pod kierownictwem Barnaby'ego Dixona w 2010 r. wśród mężczyzn zamieszkujących Nową Zelandię oraz archipelagi Samoa i Papua-Nowa Gwinea, wykazało, że przedstawiciele badanych populacji w wyraźny sposób uzależniają swój stosunek do wielkości cycków od statusu cywilnego. Ponad 60 procent nowozelandzkich kawalerów woli średnie,

Jako osoba nieszczególnie wrażliwa na dziecięcą krzywdę nie zainteresowałam się nadmiernie lamentem nad tragiczną sytuacją dzieci chorych na głowę, których nie ma kto leczyć. Ale teraz zrobiło się ciekawiej, bo wkroczył rząd. W ramach recepty na problemy dziecięcej psychiatrii zaproponował rozwiązanie, które w ogóle nie przewiduje psychiatrów.

Jesteśmy w europejskiej czołówce, jeśli chodzi o bachory, które targają się na linę. Samobójstwa są pierwszą przyczyną śmierci wśród dzieci i młodzieży – to 23 proc. zgonów przed 19. rokiem życia. Z danych policji wynika, że w latach 2013–2018 liczba prób samobójczych wśród nieletnich podwoiła się, z 357 do 772 – ale zdaniem Lucyny Kicińskiej z Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę to zaledwie ułamek prawdy, bo policja rejestruje tylko te zdarzenia, w których ktoś bachora namawiał albo mu pomagał. Wiele prób w ogóle pozostaje niezauważonych nawet przez bliskich. W badaniach fundacji, przeprowadzonych wśród młodzieży w wieku 11–17 lat, 7 procent respondentów przyznało się, że ma za sobą próbę samobójczą. 16 procent przyznało się do samookaleczeń. Generalnie: gówniarze świruje.

Jednocześnie zamykane są kolejne oddziały psychiatryczne dla dzieci, bo brakuje łóżek, pieniędzy i lekarzy. Lekarzy najbardziej – według danych Naczelnej Izby Lekarskiej w Polsce jest tylko 437 psychiatrów dziecięcych i wykazują oni skłonność do spieprzania z oddziałów, albowiem pracować się tam nie da, jako iż wszystkie są przepełnione jak tramwaj w godzinach szczytu, dzieci są upychane na podłogach po korytarzach, a inne odbijają się od drzwi i grożą, że zaraz się zabiją.

Odpowiedź rządu na te dramaty, zaprezentowana przez wiceministra o fascynującym nazwisku Józefa Szczurek-Zelazko, to Ośrodki Śro-

REBUS 1



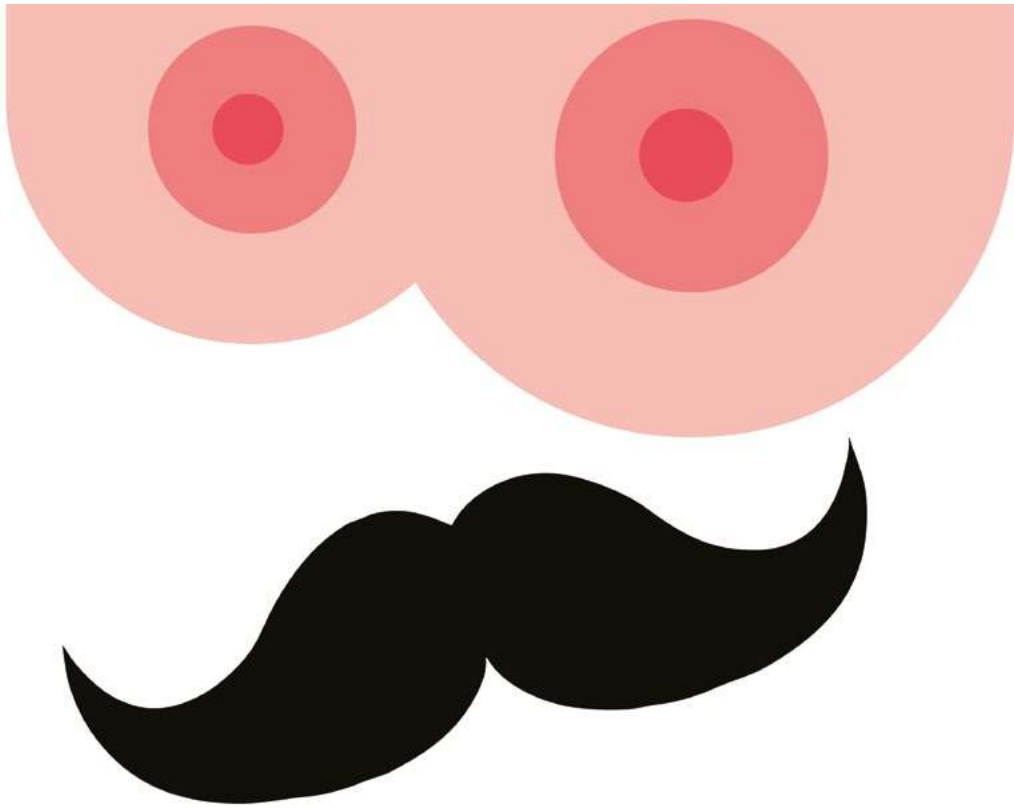
„Komandosi topią się w wodzie”

Niniejszym oświadczam, iż informacje przedstawione w numerze 4/2020 czasopiśma „NIE” z 24 stycznia 2020 roku pt. „Komandosi topią się w wodzie” były niezgodne z prawdą. Nieprawdą jest informacja, iż:

1. kmr por. Jacek Swajda jest osobą, która nie posiada nieposzlakowanej opinii (niekarana);
2. kmr por. Jacek Swajda miał jakiegokolwiek wpływ na wydarzenia związane z wypadkiem nurkowym ze skutkiem śmiertelnym w JW. Grom mającym miejsce w 2012 roku;
3. kmr por. Jacek Swajda odchodził z JW. Grom do JW. Formoza w atmosferze skandalu związanego z utonięciem żołnierza z JW. Grom w czasie realizacji ćwiczeń w 2012 roku.

kmr por. Jacek Swajda

Traktat o cyckach



Ilustr. WŁODEK KERUS

a prawie 60 procent żonatyh duże. Małych nie woli nikt. Wśród nieżonatyh Samoanczyków średnie lekko wygrywają z dużymi, podczas gdy wśród żonatyh duże biją średnie na głowę, mając 2 razy więcej zwolenników. Wśród Papuasów zdarzali się – nieliczni – entuzjaści małych, choć preferencja dla dużych była stała i rosła wraz ze ślubem. Naukowcy nie przedstawili przekonującego uzasadnienia dla tej zmiany, choć wydaje się to dość proste: żonaci mogą już sobie tylko popatrzyć, a duże lepiej widać.

Pokarm

Dziesiątki innych badań próbują tłumaczyć zmienne preferencje różnymi czynnikami: statusem socjoekonomicznym (biedniejsi faceci wolą większe cycki); rozpustą (faceci preferujący krótsze związki wolą

większe cycki); samooceną (faceci zachwyceni sobą wolą większe cycki); seksizmem (rasistowskie świny wolą większe cycki), a nawet odżywieniem. Swami i Tovée zauważyli, że biust duży lub bardzo duży wołało dwie trzecie głodnych mężczyzn i tylko 45 procent najedzonych.

Tęsknota

Te wszystkie niewątpliwie doniosłe odkrycia nie odpowiadają jednak na zasadnicze pytanie: dlaczego? Dlaczego heteroseksualni mężczyźni generalnie oczekują od partnerek wyrzuteń na klatce piersiowej?

Podaję, że ludzie zapytani na ulicy o naukowe uzasadnienie popularności cycków odpowiedzieliby głównie Freudem – ssanie piersi matki to pierwsze erotyczne doświadczenie, za którym tęsknimy w dorosłym

życiu – co wskazuje na nieśmiertelną siłę rewolucyjnej freudowskiej myśli, ale niekoniecznie daje wyczerpującą ewolucyjnie odpowiedź. Tej biolodzy i antropolodzy poszukują od dziesięcioleci i jakoś nie mogą znaleźć.

Geny

Najprostsza: pokłady tłuszczu umiejscowione w cyckach wskazują na zdrową, dobrze odżywioną samicę, która jest w stanie wyprodukować zdrowe potomstwo i wykarmić je nawet w ciężkich czasach. Podstawowa wada tej teorii jest taka, że zgodnie z nią każdy tłuszcz na kobiecym ciele powinien być pociągający, niezależnie od tego, gdzie umiejscowiony – a jakoś nie jest. Co więcej, między uczonymi pojawia się spór co do tego, czy tłuszcz w cyckach jest sygnałem uczciwym czy nieuczciwym.

Teoria sygnalizacji mówi mniej więcej tyle, że różne cechy i zachowania poszczególnych osobników służą do komunikacji z innymi przedstawicielami gatunku (a także z innymi gatunkami) i mogą to być sygnały uczciwe, czyli takie, które reklamują np. prawdziwą krzepę i potencjał rozrodczy, bądź nieuczciwe, czyli, krótko mówiąc, ściema. Cycki bywają interpretowane na 2 przeciwne sposoby.

Amerykański antropolog ewolucyjny Frank Marlowe, autor „hipotezy powabności”, twierdzi, że cycki powstały jako uczciwy sygnał młodości, a zatem płodności: jędrne stojące cycki pokazywały samcom *homini*, że mają do czynienia z samicą młodą, ale już dojrzałą i zdolną do rozrodu. Co stało się szczególnie istotne, gdy ewolucja zlikwidowała ewidentne oznaki owulacji i pojawiła się tendencja do trwałego łączenia się w pary, związana z rozrostem mózgu ludzkiego, który pociągał za sobą rozrost głowy. Dzieci o coraz większych łbach musiały przychodzić na świat coraz wcześniej – później nie przeszłyby przez drogi rodne – a to z kolei oznaczało, że wymagają coraz dłuższej opieki tatusia i mamusi, co z kolei implikowało dłuższe związki.

Ściema

Z drugiej strony amerykańska zoolog ewolucyjna Bobbi S. Low opracowała teorię, zgodnie z którą cycki, podobnie jak dupa, są to „sygnały nieuczciwe”, ponieważ zwabiają samców obietnicą szerokich bioder i wydajnych gruczołów mlecznych – czyli cech korzystnych dla rozrodu – podczas gdy tak naprawdę jest to tłuszczowa atrapa, która nie ma praktycznych walorów. Tylko u człowieka piersi składają się głównie z tkanki tłuszczowej (i dlatego nie znikają po zakończeniu karmienia), u innych ssaków o ich wielkości i kształcie decydują gruczoły mleczne, które naprawdę odwalają robotę przy karmieniu. Wniosek: u kobiet są one oszukiwaczki.

Z kolei biolog Robert L. Smith przypisał sygnałowi cyckowemu bardziej skomplikowany rodzaj nieuczciwości. Smith zwraca uwagę, że generalnie wśród ssaków piersi uwidaczniają się tylko w ciąży albo w trakcie karmienia –

czyli w czasie gdy samica nie owuluje. Piersiaste samice były mniej pilnowane przez stado, ponieważ nie wyglądało na to, że stwarzają bezpieczeństwo zaciążenia z obcymi osobnikami. Dzięki temu miały one większą szansę na przypadkowe kontakty i dostęp do większej puli genowej, co oznacza zdrowsze, silniejsze potomstwo. Według Smitha oszukiwacza tendencja do widocznych cycków, mimo braku małych do karmienia, była przypadkową genetyczną mutacją, która okazała się źródłem cechy zwiększającej zdolności organizmu do przeżycia lub rozrodu, co jest – jak wiadomo – istotą selekcji naturalnej. Zgodnie z teorią dostosowania piersiaste samice miały większą szansę na to, żeby ich geny przetrwały, multiplikując się w następnych pokoleniach, co oznaczało, że związana z nimi cecha – cym – uległa pozytywnemu doborowi naturalnemu.

**I wreszcie teoria, którą zosta-
wiłam sobie na deser. Brytyj-
ski antropolog Edward Dutton
proponuje hipotezę,
iż cycki wyewoluowały,
żeby przypominać dupę.**

Kolejne fazy ewolucji hominidów produkowały coraz bardziej wyrażone i myślące istoty. Jednak te istoty nadal kopulowały w typowej dla zwierząt pozycji, czyli od tyłu. W pewnym momencie jednak samica uległa odwróceniu. Naukowcy nie są zgodni kiedy – zgadzają się natomiast co do tego, że przyniosło to olbrzymie efekty w zakresie trwałego wiązania się w pary. Co z kolei okazało się niezwykle korzystne ewolucyjnie, albowiem energia, którą samce musiały dotychczas zużywać na walkę o samicę, mogła być produktywnie przekierowana na dbanie o potomstwo. Dutton twierdzi, że piersi powstały jako forma ułatwienia tej przemiany: ponieważ tysiące pokoleń samców przyzwyczały się do oglądania pośladków podczas kopulacji, samice wyhodowały cycki, żeby pokazać im jakiś znajomy widok.

AWŁ



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

wiskowym Centrum Zdrowia Psychicznego Dla Dzieci i Młodzieży, gdzie przewidziany jest jeden etat psychiatryczny na placówkę. Co nadal wskazuje na nienadmierną wagę, jaką rząd przykładą do dostępu nieletnich świrów do psychiatry – zważywszy, iż w takiej placówce ma być 8 etatów, w tym dla dietetyka i pielęgniarki. Dopiero gdy te dwie placówki okazały się bezsilne, małe pojeby (a w zasadzie ich rodzice) będą mogli dobijać się do drzwi prawdziwego wariatkownika.

Optymistyczna myśl jest taka, że nawet maturzysta po kursie terapeutycznym – bo taki jest wymóg wobec „terapeutów środowiskowych” – jest zapewne mądrzejszy od przeciętnego rodzica i ma większą szansę zauważyć u bachora schizofrenię lub choćby depresję. Zła taka, że od „większej szansy” do gwarancji daleka droga, a w tym wypadku jest to droga ogromnie kosztowna. Rząd przewiduje powołanie trzystu placówek „pierwszego poziomu referencyjnego” – tych bez psychiatrów i z jednym psychologiem – a na każdą planuje przeznaczyć ponad pół miliona złotych. W sumie rządowe szacunki mówią, że projekt pochłonie 160–180 mln zł rocznie. Przewidywane pensje to 7–8 tys. zł brutto. Tymczasem – jak zauważa dyrektor Instytutu Psychiatrii i Neurologii w Warszawie prof. Janusz Heitzman – psychiatra dziecięcy po specjalizacji zarabia 6750 zł brutto. Może zatem, zamiast pakować setki milionów złotych w sieć placówek, w których dziecko ze zdiagnozowaną depresją nie dostanie nawet recepty na antydepresanty – bo nikomu nie wolno jej wypisać – przeznaczyć je na dowartościowanie lekarzy i doinwestowanie oddziałów ratujących życie? Właszcza że jednocześnie budowana jest sieć psychologów szkolnych – w teorii jeszcze łatwiej

dostępnych niż psychologowie powiatowi – a jakoś nam młodzież od tego nie zdrowieje na umyśle.

W ierna swojej paranoicznej naturze (każdy ma takiego świra, na jakiego sobie zasłużył), skłonna jestem podejrzewać, że za tym absurdem kryje się jednak pewna filozofia.

Lapidarnie ujęła ją swego czasu nieoceniona „Fronda”: „Bóg zwycięży Twoją depresję”.

„Tym, którzy zastanawiają się nad przyczynami swojego smutku, katolicy dają jednoznaczna odpowiedź: Bóg i tylko On daje nam sens życia” – nauczała na łamach „Frondy” red. Maria Patynowska z miesięcznika „Egzorcysta”.

Równie pięknie przedstawił to miesięcznik „Miłujcie się” w publikacji „Najskuteczniejsze lekarstwo na depresję – eucharystia”: „Dzięki modlitwie, którą praktykowałam szczególnie wtedy, kiedy było mi ciężko, obyło się bez psychiatry i leków antydepresyjnych”.

Katolickie księgarnie pełne są pozycji w stylu „Jak zwyciężyć depresję” ks. Serafino Falvo, który poucza, że wystarczy, „abyś odkrył obecność Jezusa w twoim życiu, a dla Niego wszystko jest możliwe, także uzdrowienie z depresji”. Albo „Z depresji do wiary” Milly Gualteroni – włoskiej dziennikarki modowej, której leki nie pomagały („warto zauważyć, że statystyki wykazują niespecjalnie wysoką skuteczność farmakologii w przypadku depresji”), podkreślała autorka kłamliwie w jednym z wywiadów – aż wreszcie, „dzięki wierzącemu terapeutcie, otwartemu na przesłanie Chrystusa” zrozumiała, że „depresja może stać się narzędziem do pogłębienia przesłania Jezusa”, a „wybór czystości pozwolił jej odciąć się od nieuporządkowanego, chaotycznego i destrukcyjnego życia, jakie wiodła”.

Książd podczas spowiedzi jest dla wielu Polaków pierwszą osobą, której zwierza się z choroby. Nader często zamiast rady, żeby szukać pomocy psychiatry, słyszą, że to kara za grzechy i muszą się więcej modlić oraz zaprzestać bicia konia.

**Leki na depresję,
chorobę afektywną
dwubiegunową
czy zaburzenia
obsesyjno-kompulsyjne
przez wiele katolickich
autorytetów uważane są
za fanaberię**

tam, gdzie wystarczy wiara, nadzieja i miłość. Aha, i jeszcze czystość.

Oczywiście trzeba mieć nadzieję, że psychologowie i terapeuci nie będą obdarzać taką akurat mądrością dzieci przychodzących do Ośrodków Środowiskowej Opieki Psychologicznej i Psychoterapeutycznej – ale pewnością nie ma. Wśród placówek, które właśnie otrzymały akredytację na szkolenie w zakresie „specjalizacji z psychoterapii dzieci i młodzieży” jest 5 psychiatrycznych oddziałów szpitali (głównie akademickich), 2 instytuty dedykowane kształceniu psychoterapeutów – w tym Wrocławski Instytut Psychoterapii, będący placówką Polskiego Stowarzyszenia Rozwoju Psychoterapii – i tylko jeden spośród 32 wydziałów psychologicznych uczelni wyższych: Instytut Psychologii Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Przynajmniej co ósmy terapeuta będzie zatem prezentował słuszną moralnie postawę.

AWŁ

Co 2,5 dnia członek polskiej rodziny ginie z rąk domownika. Prawie codziennie jest z niej zabierane dziecko ze względu na zagrożenie życia.

30 stycznia 2020 r. w kamienicy przy ul. Tarchomińskiej w Warszawie znaleziono 2 ciała. Sara miała tyle ran kłutych, ile wiosen – 25. Dominik tylko o kilka mniej. Może 7 ciosów to było za mało, żeby 7-latek przeniósł się do bozi?

Sprawcą był Dariusz, mąż Sary i tata Dominika. Dołączył do rodziny kilka godzin później. Powiesił się w rodzinnych stronach – w lesie pod Włocławkiem.

Sąsiedzi niewiele wiedzą o małżonkach.

– Wprowadzili się niedawno. Będzie może 2 lata. No czasem się kłócili. Jak wszyscy... Ostatniej nocy było głośno, potem on biegł po podwórku. Dopiero nad ranem uciхло.

Praga Północ jest modna, ale w obrębie ulic Targowej, Białostockiej i Żąbkowskiej. Na Tarchomińską, choć łączy ostatnie dwie ulice, nie docierają artyści i ich pieniądze. Nawet studentów jak na lekarstwo. Większość mieszkań komunalna. Kamienice odrapane, brzydkie, większość powstała na początku XX w. na miejscu rozebranych koszar kozackich.

Podwórko jak studnia – niewiele słońca. Rozwalające się brudne schody. Na klatce śmierdzi szczynami. Dominik często wisi na trzepaku w towarzystwie Grzesia z sąsiedztwa. W pobliżu są parki, ale żeby poharcować wśród zieleni, trzeba przejść przez ruchliwe ulice. Sara mówiła Dominikowi: – Sam nie możesz iść. Co ludzie powiedzą...

Niedaleko monopolowy i funkcjonujący od kilkudziesięciu lat podstawowa szkoła specjalna. Organizację powierzono Zdzisławowi Bytnarowej, mamie Janka Bytnara, zakatowanego przez Niemców w 1943 r. Przeżyła, nie było jej w domu, gdy aresztowano syna i męża.

Szkoła jest ważna dla miejscowych dzieciaków, bo na posesji rosną stare morwy. Czarne owoce są prawie tak dobre jak winogrona. Te z czubków drzew spadają same. Dobra rozrywka, zdziwieni przechodnie ślizgają się jak na lodowisku.

Lutowy zmrok zapada szybko. W bramie obok chudy facet wylewa zawartość żołądka. Papka w kolorze szarego różu ląduje na butach. Zapach wymiocin miesza się z czymś słodkim. Marycha. Oczywiście adres nie determinuje losu człowieka.

Premier Mateusz Morawiecki: „**Wychowywalem się w jednej z wrocławskich dzielnic grozy. (...) Bawiłem się na podwórkach, na których nie chciałby się pan pojawić bez obawy policyjnej. Nasze mieszkanie nie miało ciepłej wody, toaleta była na korytarzu, wspólna dla kilku rodzin. To były lata 60., 70. i 80.**”

Dariusz z Sarą byli parą od dawna. Pomieszkiwali tu, to tam. Czasem się kłócili. Bywało, że ona wyprowadzała się do koleżanki. Czasem z siniakiem pod okiem.

– Nie wróć, kiedyś mnie zabije – łkała.

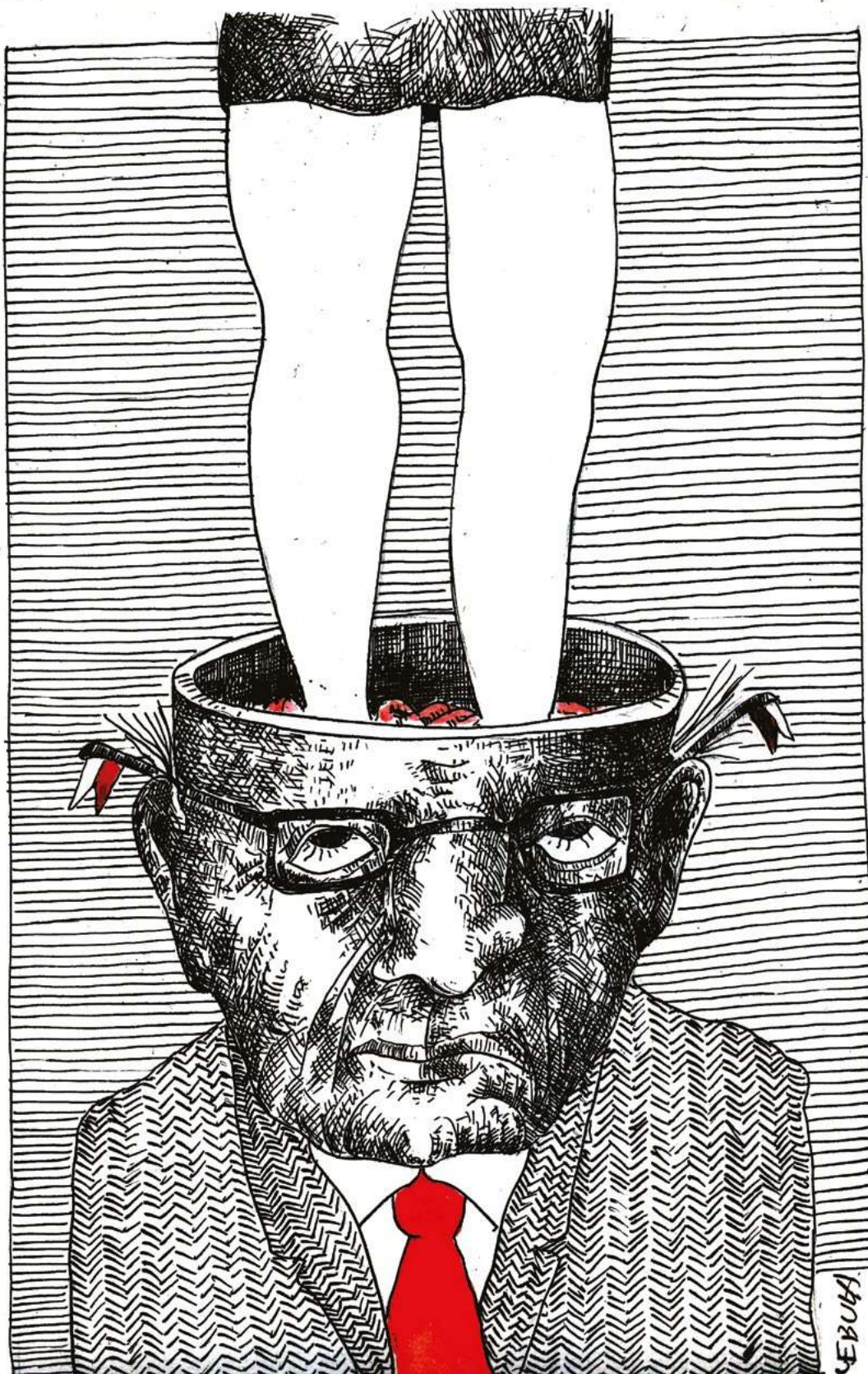
Po kilku dniach siniak zmieniał barwę na różową, potem stawał się coraz jaśniejszy, aż w końcu znikał pod makijażem.

– To wszystko z miłości – mówiła wtedy Sara. – Zauważył, że rozmawiałam z sąsiadem. Kolega wpadł na chwilę. Wysłał na piwo. Przecież nie jestem zakonnicą, a on łatwo się unosi. Zazdrośny, świata poza mną nie widzi.

Mógł być jej ojcem, miał 44 lata.

W 2013 r. urodził się Dominik. Dobry powód, żeby zalegalizować związek. Wkrótce PiS dało

Noc odślubna



„Czy dostawał Pan klapsy od taty?”
Premier: „Owszem”.

Zonobójca to na ogół przeciętny facet, a nie zapijaczony menel.

Pierwszy z brzegu przykład z Poznania. Małżonkom się nie układało. Tomasz rozpedził się i celowo zjechał na pobocze. Dopóki śmierć nas nie rozłączy... Potem trumny w ten sam dół. Wszystko zgodnie z nauką Kościoła kat.

Nie wyszło. Najmocniej ucierpiał 14-letni syn. Zapadnięte płuco, skomplikowane złamanie. Beata wystąpiła o rozwód.

Bała się, wymieniła zamki w drzwiach. „**Musiabymy mi łeb odrąbać i przyszyć nowy, bo ja już nie chcę z nim żyć ani w ogóle nic**” – napisała do nowego partnera. Wkrótce potem porzucony wysadził kamienicę, w której mieszkała. Zginęła wiarołomna żona, a także 4 przypadkowe osoby.

W małej wsi pod Fromborkiem z ręki męża zginęła Maria M. Córkę udało się uratować, ale ostrze doszło do rdzenia kręgowego, dziewczyna jest sparaliżowana. W ocenie ojca była winna, bo wezwała policję i podtrzymała osuwającą się na ziemię matkę. Szok? W Polsce tak. W Drewnowie nie.

– Bił Marię, wyzywał, groził. Tłumaczyła, że się potknęła i uderzyła w szafkę. Pudrowała siniaki. Rozpuszczała włosy. Robiła co tylko chciał. „Idź po papierosa!” Szła. „Przynieś piwo!”. Niosła. „Gotuj buraki!”. Gotowała.

Wyprowadziła się, ale wróciła, bo on kochał i zabiegał, a sakrament małżeństwa rzecz święta. Policja założyła „Niebieską kartę”. Nawet został skazany – na 7 miesięcy w zawieszeniu.

Historie z ostatnich tygodni: Bielsko-Biała.

35-letni strażnik miejski przez kilka miesięcy znęcał się nad ciążną żoną.

Nie uciekła, choć pracowała w opiece społecznej i niejedno widziała. W końcu ją udusił

i zgłosił policji, że zaginęła. A on się zamartwia o nienarodzoną córkę, to przecież 6. miesiąc ciąży.

Zona z Sątoczka chciała rozwodu. Wróciła do domu, żeby się spakować.

– Chcesz do gacha? – wkurzył się ślubny.

Kilkanaście razy uderzył nożem w szyję.

W Małym Kątku 53-latek przebił żonie tętnicę płucną, potem wyskoczył z dachu budynku.

W Kętach nie wydarzyło się nic dramatycznego. Była sprzeczka, więc „dziabnął 2 razy nożem w brzuch”.

„Czy podziela Pan diagnozę postawioną na konwencji przemocowej, która twierdzi, że źródłem agresji wobec kobiet i dzieci są nierówności płci i role kulturowe narzucone przez tradycję, a więc także Kościół katolicki?”

Premier: „Nie zgadzam się z taką opinią”.

Biuro Prewencji Komendy Głównej Policji czuwa nad realizacją procedury „Niebieskiej karty”.

Z raportu: W 2019 r. funkcjonariusze wypełnili 74 313 formularzy. O 1150 więcej niż w zeszłym roku. Podjęto 166 102 interwencje. Też wzrost w porównaniu z rokiem poprzednim. Odnotowano 58 963 przypadki przemocy fizycznej, 81 000 psychicznej, 1238 seksualnej, 1897 ekonomicznej, 23 004 przypadki innego rodzaju. Ofiary to głównie kobiety

500 zł co miesiąc na dzieciaka. Mówiło się, że tylko dla małżeństw. Nie dla samotnych kurew.

Czy państwo M. byli złym małżeństwem?

– Różnie im się układało. Syn był porywczy – przyznała mama Dariusza, szykując pogrzeb. – Ale kto w dzisiejszych czasach nie jest? Żyje się szybko, więc gdzie chatka, tam zwadka. Darek nie odstawał od normy. Nikogo nie gonił z siekierą.

Znajomi mordercy twierdzą, że Sara nie radziła sobie z obowiązkami żony. Zona musi za mę-

żem krok w krok... Obiady gotować, kanapki do pracy przygotowywać, łóżko grzać. Ona oglądała się za innymi. Święty by nie wytrzymał, a Darek święty nie był... Awantura po awanturze, on coraz starszy, ona coraz bardziej wymagająca, bijatyki. To nie mogło trwać w nieskończoność.

Dlaczego zadźgał syna? To dopiero pytanie. Jakie mogą być dziecięce przewiny? Wystarczy złać jak mokre siano. Widać tej nocy Darek mocno go wkurzył. A może to przypadek. Może Dominik wlał między Sarą i nóż?

Więści gminne i inne

■ Już, już, w 2022 r. dzięki wizjonerskiej polityce PiS-u oraz ciężkiej pracy zwykłych ludzi poprawione zostanie to, co matka natura spaprała. W miejscowości Nowy Świat powstanie linia brzegowa, która podzieli Mierzeję Wiślaną na nierówne części, w rezultacie czego będziemy mieli w Polsce trzecią co do wielkości wyspę, choć na spółkę z Rosjanami. Drugą dzielimy się z Niemcami. Kanał, który powstaje w poprzek mierzei, ma przyspieszyć komunikację morską statków z Elbląga na Bałtyk oraz utrudnić przejazd samochodów z suchego lądu Rzeczypospolitej do Krynicy Morskiej. Samochody mają jeździć przez ruchomy most. Czyli marynarzom się poprawi, kierowcom się spierdoli, co jest w ogóle typowe dla myślenia rządzącej formacji. Trzeba na to wydać miliard według planów, co oznacza, że po zakończeniu wyjdą z niego 4 mld.

■ Wydział do Walki z Cyberprzestępczością komendy w Katowicach wraz z prokuraturą dorwały 24-latkę, który ich zdaniem w swoim niedługim przecięt życia dopuścił się 9 tys. cyberprzestępstw, z których każde zagrożone jest karą do pięciu lat więzienia. Trudno zrozumieć, na czym polegały te przestępstwa, bo wyjaśnienia policji są mętne. Dobrze, że bandyta siedzi. Samo odczytanie sądowi aktu oskarżenia, w którym jest 9 tys. zarzutów, a następnie przeczytanie wyroku, który opisuje wszystkie owe, zajmie akurat tyle czasu, że cyberprzestępca karę będzie miał już odsiedziać, zanim wyrok zapadnie.

■ Naukowcy z Instytutu Paleobiologii Polskiej Akademii Nauk upierają się, że na podstawie szczątków zwierzęcych, które mają 215 mln lat, udało im się zrekonstruować żółwia należącego do gatunku Porebensis, którego nazwę też sobie uczeni wymyślili. Żółw sprzed 225 mln lat wyglądał jak żółw współczesny, zadaje zatem kłam teorii ewolucji. Ludzie w tym czasie zmienili się nie do

poznania. Byli wilkołakami, a dziś wyglądają jak Marek Suski. Żółwie zatem operowały się naturalnemu postępowi. Pewnie dlatego że należą do najbardziej długowiecznych zwierząt na Ziemi.

■ Prokuratura Rejonowa w Siedlcach wydała policji rozkaz aresztowania Agaty K. za to, iż utrzymywała, że ma raka, a raka nie miała. Symulantka, wzbudzając wyimaginowanym nowotworem niekłamną litość internautów, zebrała



na swoją antykancerową terapię ponad 375 tys. zł. Słuszne jest, że sąd może ją skazać na 10 lat, ale przepadku korzyści z przestępstwa lepiej byłoby nie orzekać. Z rakiem nigdy nic nie wiadomo...

■ W rezultacie udokumentowanych pogłosek dotyczących wprowadzenia podatku od mięsa, nad którym to podatkiem obraduje Parlament Europejski, a który ma przynieść we wszystkich krajach Unii 32 mld euro rocznie i zmniejszyć spożycie paskudztwa o 50 proc., w panikę wpadli mieszkańcy Pisu. Napadli na stoisko garmateryjne jednego z marketów. Zwinęli 45 szynkę, podobną liczbę kiełbas oraz większą ilość wędliny krojonej, paczkowanej. Napad nie był specjalnie spektakularny. Bandyci naładowali w sklepowy wózek, ile się dało. Następnie wyjechali, nie płacąc. Taktycznym błędem było użycie do przestępstwa modelu mercedesa, którego nikt wcześniej w Pisu nie widział, doskonale więc rzucił się w oczy policji obserwującej miasto przez kamery monitoringu.

■ Czterech uczniów technikum z warszawskiej Pragi, w wieku od 15 do 17 lat, planowało wymordować pozostałych uczniów za pomocą rur kanalizacyjnych wypełnionych saletą, cukrem i siarką. Polygonowe próby bomb przeprowadzone przez młodocianych techników w lasach pod Rembertowem wypadły obiecująco. Zawiodła konspiracja. Policjanci od walki z terrorem kryminalnym stołecznej policji namierzili niedoszłych zamachowców przez internet. Żadna skuteczna działalność przestępcza nie jest obecnie możliwa bez wsparcia sprytniejszego od policji z zespołu IT.

■ Łódzianin uprawiający jogging w lesie Arturówek został zatrzymany w szpitalu w związku z próbą odgryzienia mu dwóch nóg przez 4 czworonożne psy. Psy zostały skierowane na obserwację psychiatryczną do schroniska, po której biegły psy psycholog ma wydać opinię w przedmiocie, czy stanowią zagrożenie dla otoczenia.

■ Na posterunek policji w Kwidzynie przyjechał mężczyzna, domagając się

Bez odpowiedzi

Zapytałam Komendę Główną Policji, ile kobiet zostało zabitych w wyniku przemocy domowej w 2019 r.? Jak to się ma do poprzednich lat? Ile kobiet straciło życie z ręki męża, a ile z ręki partnera? Inaczej mówiąc: czy premier ma rację, zapewniając, że przemoc, a więc również śmierć niosą przede wszystkim kochankowie i konkubenci?

Ostatnie pytanie pozostało bez odpowiedzi. Wioletta Szubska z KGP wyjaśniła, że policyjne dane są ogólne i nie uwzględniają podziału na relację rodzinną sprawca–ofiara.

W 2017 r. popełniono w Polsce 142 zabójstwa na tle nieporozumień rodzinnych. W 2019 r. takich rodzinnych trupów było 147.

(74 procent). Choć są również dzieci. W ostatnim roku 309 odebrano, bo była obawa, że zostaną zaszlachtowane.

W sytuacji gdy są wyczerpane znamiona opisane w art. 207 kk („kto znęca się fizycznie lub psychicznie nad osobą najbliższą lub nad inną osobą pozostającą w stałym lub przemijającym stosunku zależności...”), policja wszczyna postępowanie przygotowawcze. Ich liczba wzrasta lawinowo. W 2019 r. rozpoczęto 30 456 spraw, wzrost o 5,8 proc. w stosunku do 2018 r. Wtedy nastąpił wzrost o 6,45 proc. w stosunku do 2017 r.

Ciekawe – więcej formularzy jest wypełnianych na terenach miejskich (58 proc.) KGP wyciąga z tego faktu nieoczekiwany wniosek: wiejskie baby są bite rzadziej.

Premier: „Przemoc pojawia się najczęściej w związkach nieformalnych, a nie tych usankcjonowanych prawnie”.

W prawniczych mediach trwa dyskusja, czy „Niebieska karta” to pomoc, czy raczej bat na rodziny? Np. Bartosz Lewandowski, dyrektor Centrum Interwencji Procesowej Instytutu Kultury Prawnej Ordo Iuris, wybrzydza, że definicja przemocy w rodzinie jest niejasna. Gromadzenie informacji odbywa się w sposób „niezwykle inwazyjny w autonomię życia domowego”. Karta nie może być zamknięta nawet na wniosek ofiary. No i kat nie może ustanowić pełnomocnika. Kat? Zagalopowałam się. Procedura „jest wszczynana na skutek złośliwych donosów” albo „sporów między małżonkami”.

Premier: „Przez ponad 25 lat polskie elity bardziej interesowały się sytuacją na giełdach zagranicznych niż kondycją polskich rodzin”.

Zła ćwiartka zakończyła się w 2015 r. – 16 listopada 2015 r., bo wtedy władzę w Polsce wziął PiS.

Fundacja Praw Kobiety po raz kolejny nie otrzymała dofinansowania z Ministerstwa Sprawiedliwości na prowadzenie działalności statutowej. Tylko w Warszawie odebrała 7 tys. telefonów od maltretowanych żon. Udzieliła 1200 konsultacji prawnych, 1321 psychologicznych. Wciąż prowadzi Ośrodek Wsparcia dla Kobiet. Pomieszkuje w nim 48 pań i 39 dzieci. Adres jest utajniony, fundacja boi się o bezpieczeństwo podopiecznych.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

* Cytaty z wywiadu z Mateuszem Morawieckim („Gość Niedzielny” z 4 stycznia 2018 r.).

Ani skarży, ani pyta

Instytucja skargi nadzwyczajnej miała obalić wyroki wydane przez zdeprawowaną kastę sędziowską. Obaliła mit, że PiS-owi chodzi o coś więcej niż o podporządkowanie sądownictwa Kaczyńskiemu.

Prezydent wszystkich pisaków podpisał ustawę kagańcową, dzięki czemu w kraju, a zwłaszcza wśród prawdziwych Polaków zapanała euforia, gdyż zamiast sędziokracji wreszcie przyjdzie czas na demokrację. W 2017 r., przed nowelizacją ustaw sądowniczych, na ulicach pojawiły się czarne *bill-boardy* z hasłem: „Niech zostanie tak, jak było” oraz opowieściami o zwyrodniałstwie nadzwyczajnej kasty w rodzaju: „Sąd w Świdnicy wypuścił na wolność pedofila, po wyjściu z więzienia mężczyzna skrzywdził kolejne dziecko”. Przed dobrymi zmianami przyklepanymi przez Dudę w tym roku wykazanie niegodziwości sędziów spoczęło na barkach telewizji publicznej. TVP misję powierzoną przez partię zrealizowała niemal wzorowo, emitując cykl reportaży „Kasta”.

Kogo opluć. „To jest program o tym, jak ludzie, którzy powinni stać na straży prawa, a sami nazwali się nadzwyczajną kastą, w zwyczajny sposób i w majestacie prawa wydają wyroki sprzeczne z poczuciem sprawiedliwości” – ogłasza prowadzący tytułem wstępu przed każdym odcinkiem i od razu staje się jasne, że serial utrzymany jest w konwencji westernu. A skoro tak, ma dwóch wyrazistych bohaterów: jasną stronę mocy reprezentującą krzywdzeni na wszelkie możliwe sposoby zwykli Polacy, a w roli czarnych charakterów występujący wydający wyroki z rażącym naruszeniem prawa sędziowie. Skutek: zwykli Polacy tracą ciągniki, gospodarstwa rolne, mieszkania, zło to i samochody z depozytów sądowych, podkreślając przed kamerą, że prześladowań doświadczyli w czasach, w których o „500 plus” nikomu nawet się nie śniło, co ich niedole czyni dotkliwszą.

Żeby widownia nie miała wątpliwości, komu plunąć w twarz, narracji towarzyszą napisy na pasku – najczęściej pojawia się: „Sędziowska kasta niszczy Polaków”, bo to fraza chwytliwa i bezstronna. Ale nie obyło się bez wpadek.



ILUST. KRZYSZTOF OLEJNIK

Szczyt hipokryzji. Po zakończeniu jednego z odcinków w charakterze eksperta wystąpił adwokat. Dziennikarz zapytał, co mają począć ograbieni oraz zniszczeni nieszczęśnicy, a mecenas, zamiast zaproponować kagańce na sędziowskie mordy, odparł, że mogą wystąpić o ponowne rozpatrzenie sprawy, wykorzystując instytucję skargi nadzwyczajnej. Dziennikarz TVP niewygodny wątek czujnie potraktował milczeniem, bo nic tak nie ilustruje hipokryzji pisiorów, jak skarga nadzwyczajna właśnie.

Duda chciał bowiem ratować sądownictwo przed anarchią już przed trzema laty i w tym celu spłodził projekt nowelizacji ustawy o Sądzie Najwyższym. Przewidywał utworzenie w SN Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych, co miało pozwolić na korygowanie prawomocnych orzeczeń sądowych i tym samym urzeczywistnić poczucie sprawiedliwości społecznej.

„Wyroki sądowe bez wątpliwości powinny być sprawiedliwe, wydawane w oparciu o prawidłowo zinterpretowane przepisy, a w końcu odzwierciedlać zebrany i poprawnie oceniony materiał dowodowy. Tak zdiagnozowane wartości nie powinny ze sobą kolidować. Orzeczenie sądowe powinno być rezultatem postępowania, które spełnia wszystkie wyżej wymienione przesłanki i pozwala sądowi wyrokować w sposób sprawiedliwy tak, aby nie było potrzeby wzruszania prawomocnych orzeczeń. Praktyka pokazuje jednak, że w obrocie prawnym pojawiają się prawomocne orzeczenia, którym daleko do opisywanych tutaj standardów. Konfrontacja z rażąco niesprawiedliwymi orzeczeniami,

opartymi na błędnie zinterpretowanych przepisach, sprzecznych z treścią zebranego w sprawie materiału dowodowego istotnych ustaleń sądu, musi prowadzić do wniosku, że stabilności orzeczenia nie można bronić za wszelką cenę. Mając powyższe na uwadze, projektodawca wprowadza instytucję, którą określono mianem skargi nadzwyczajnej”

– czytamy w uzasadnieniu prezydenckiego projektu.

Dwa światy. Projekt stał się ciałem – izba Sądu Najwyższego, mająca przywrócić ład prawny przez wyeliminowanie z obrotu orzeczeń naruszających prawo i w ten sposób wzmocnić zaufanie do wymiaru sprawiedliwości, powstała w październiku 2018 r. Przepisy prawa do wniesienia skargi nadzwyczajnej przyznają Prokuratorowi Generalnemu; Zbigniew Ziobro miał zatem ponad rok, aby w imieniu bohaterów wszystkich odcinków serialu „Kasta”, a jest ich wielu, i pozostałych ofiar zdeprawowanego systemu wystąpić o uchylenie krzywdzących wyroków i orzeczeń. Ale dorobek ministra jest mniej niż skromny. Do Izby Kontroli Nadzwyczajnej wpłynęło raptem 80 skarg, ze względu na braki formalne do rozpatrzenia zakwalifikowano tylko 32, z czego dotychczas rozpoznano 10, połowę uznając za pozbawione podstaw prawnych.

Ziobro nie wystąpił ze skargą nadzwyczajną nawet wobec wyroków wydanych przez sędziego Juszcyszyna, choć jest on bohaterem niezmiernie emocjonującego odcinka „Kasty”, a także wyjątkowo aktywnym siewcą anarchii w sądownictwie. Dlaczego nie stanął w obronie rolnika, który –

jak wynika z doniesień TVP – wskutek wyroku Juszcyszyna za nieruchomości warte pół miliona dostał 32 tys. zł, czyli w majestacie prawa został obrabowany?

Z jakich powodów Ziobro nawet nie spróbował udowodnić na drodze sądowej, jakim gadem jest strojący się w piórka obrońcy praworządności sędziego?

Odpowiedź jest oczywista. Minister od sprawiedliwości mimo wszystko nie jest notorycznym idiotą i dobrze wie, że insynuacje w TVP i rzeczywistość to dwa różne światy.

Oprawca w todze. Wrzucenie prawomocnego wyroku po złożeniu skargi nadzwyczajnej możliwe jest tylko wtedy, gdy orzeczenie zostało wydane z rażącym naruszeniem przepisów albo jest sprzeczne z treścią materiału dowodowego, co oznacza, że w telewizji publicznej z Juszcyszyna łatwo zrobić zwyrodnialca w todze, natomiast przed sądem znacznie trudniej. Z punktu widzenia rządowej propagandy nieosądzony sędzia Juszcyszyn jest zatem bardziej użyteczny, wszak gdyby się okazało, że SN nie znalazł podstaw do zmiany wydanego przez niego wyroku, wizerunek walczącego ze złem szeryfa niepotrzebnie by ucierpiał i ratunku trzeba by szukać w peerelowskiej prowincjonalności sędziów z Izby Kontroli Nadzwyczajnej, co byłoby karkołomne, ze względu na to, że tworzą ją nominaci PiS-u.

Ziobro zamiast dobra wymiaru sprawiedliwości ma na względzie partyjne geszety, a warunkiem ich powodzenia jest propaganda, skargi więc nie złożył.

Gdyby pisiorom nie chodziło o podporządkowanie sądownictwa Kaczyńskiemu, po to by żaden sędzia nie był zdolny do skazywania kryształowo czystych Polaków pokroju Mariusza Kamińskiego, a sądownictwo rzeczywiście byłoby w tak katastrofalnym stanie, jak głosi TVPiS, instytucja skargi nadzwyczajnej już dawno przywróciłaby wiarę w prawo i sprawiedliwość. I to bez konieczności kneblowania strażników prawa i szczucia na nich zwykłych Polaków.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK

mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

ścigania sprawców włamania do garażu. Zagarnęli wiatrówkę, wyrzynarkę, siekiere, wentylator i kielbasę z dzika. Na dowód popełnienia kradzieży 46-latek pokazał funkcjonariuszom zdjęcia złodzieja wykonane fotopułapką. Jak się okazało, fotopułapka została ukradzioną z lasu pobliskiego nadleśnictwa. Okradzionemu z wentylatora za kradzież fotopułapki grozi 5 lat więzienia.

20-letni mieszkaniec Bystrej Podhalańskiej, aby wyzwolić się spod terroru zapytychał miejscowych obyczarów, pojechał do Krakowa przepścacerować się po rynku w żółtej pizamie oraz z porożem renifera. Wzbudziło to podejrzenia patrolu policyjnego, który nie uwierzył, że rogi rena góral z Bystrej znalazł w norweskim lesie, albowiem w okolicach Krakowa nie ma takiego lasu. Słusznie również policjanci uważali, że posiadana przez górala substancja nie jest majerankiem, tylko suszem konopnym. Na tym w związku z ustawą o przeciwdziałaniu narkomanii cała finezja się skończyła. Jak? Nie musimy wyjaśniać.

Zapadł długo oczekiwany przez społeczeństwo wyrok na amatora cudzych śliwek. Śliwek w czekoladzie. 70-letni utrzymanek ZUS-u pojechał do Kolobrzegu na wczasy, gdzie w miejscowym sklepie zżarł jedną śliwkę, a potem nie zapłacił, twierdząc, że mu nie smakowała. Sędzia Klaudia Juraszczyk skazała chuliganerie na 20 zł grzywny i 100 zł kosztów sądowych. Cukierek wart był 40 groszy, ale nie o to przecież chodzi. Prawo musi znaczyć prawo, a sprawiedliwość sprawiedliwość – tak mniej więcej uzasadniał wyrok wysoki sąd. Tak, tak i jeszcze raz tak.

Na 7 miesięcy więzienia skazał sąd w Chełmnie 27-latek, który w pijackim amoku zerznął szwagierkę, też zresztą pijaną, gdy obok spała jego żona. Szwagierka nic nie pamięta, żona też nie ma pretensji. Pokrzywdzonym okazał się szwagier, który chciał powinowatemu obić mordę, mimo że ten go przeprosił, tłumaczyć dość trzeźwo, że pomyliły mu się dupy. Miał chłopina rację: dupa to dupa i po co było sądowi drążyć temat.

Wojciech Pluta-Plutowski z Konina, znajdujący się na którymś tam miejscu w stawce najbogatszych Polaków, z ręką majątkiem wycenianym przez dziennikarzy z tygodnika „Wprost” na 280 albo 250 mln zł, postawił w Koninie blok mieszkalny dla dwunastu rodzin za 3,5 mln zł, który oddał miastu za darmo. Pluta dorobił się na handlu sadzą oraz kaucukiem. Pierwszego nie znamy, a z naturalnego kauczuku robi się na pewno gumę do zucia.



rys. TOMASZ WATERS

Chcąc uczcić stulecie nawiązania stosunków dyplomatycznych między Polską a Japonią przy okazji festiwalu śniegu (biała substancja powstająca z wody) w Sapporo, stu japońskich żołnierzy w miesiąc wybudowało z lodu i śniegu replikę Pałacu na Wyspie i pomnika Chopina znajdujących się na co dzień w parku łazienkowskim w Warszawie. Rzeźba Pałacu na Wyspie ma wymiary oryginału: 14 m wysokości, 26 szerokości i 20 długości. Pomnik Chopina jest nieco mniejszy. Zasadniczo jesteśmy wdzięczni Japończykom, choć Japonia jako wróg czy przyjaciel jest nam państwem równie nieprzydatnym.

W Krakowie jak to w Krakowie – ktoś chce wywołać paraliz komunikacji miejskiej, smarując głównym automaty do sprzedaży biletów. Ze wszystkich stron i nawet od wewnątrz. Szczególnie zagrożone są automaty przy ulicach Grota-Rożewskiego i Kapelanka. W pobliżu znajdują się budynki kampusu Uniwersytetu Jagiellońskiego, co sporo wyjaśnia.

31 osób niemających pomysłu, jak uczciwie się wzbogacić, utworzyło grupę przestępczą handlującą smartfonami. Nie, nie, nie był to T-Mobile, ponieważ T-Mobile grupą przestępczą nie jest. Chodziło o zupełnie inne osoby, które sprzedały tych smartfonów tyle, że VAT od nich powinien zdaniem policji wynieść miliard złotych. Nie wyniósł, bo wsiąkł w karuzelę VAT-owską. Funkcjonariusze rozbili oczywiście to towarzystwo nieuczciwości, choć jak zwykle coś tu się nie zgadza. Aby VAT wyniósł miliard, towar musiałby być wart jakieś 4,3 mld zł, natomiast cały rynek smartfonów w Polsce szacowany jest na 2,1 mln sztuk. Licząc średnio po 1000 zł za sztukę, rachujemy, że jest to 2 mld zł z ogonkiem. Cóż, policjanci to nie księgowi, ale z przechwalaniem się też nie należy przesadzać.

R.J.

Informacje pochodzą z prasy regionalnej oraz innych miarodajnych źródeł. Należy traktować je jednak z ostrożną powagą oraz unikać generalnych wniosków, ponieważ w naszym pięknym kraju coś, co wczoraj było prawdą, dziś prawdą może nie być. Nie zalecamy także z informacji wyciągać jakichś poważnych skutków prawnych.



1. Amerykański Departament Sprawiedliwości oferuje granty organizacjom pomagającym m.in. ofiarom handlu ludźmi. Było wśród nich katolickie stowarzyszenie, które – zaskakująco – naprawdę załatwiało kobietom wyrwanym z rąk alfonsów mieszkania, pomoc prawną, opiekę medyczną, naukę i pracę, a także np. usunięcie tatuaży, którymi naznaczyli je sutenerzy. Teraz miejsce katoli zajęła Annie Lobert – nawrócona dziwka z Nevady, która lobbuje przeciwko depenalizacji prostytucji i prowadzi domy dla uciekinierek, w których pensjonariuszki mają obowiązek modlitwy i zakaz czytania „świeckich czasopism z artykułami przedstawiającymi materialistyczne poglądy/porady dotyczące życia, seksu, odzieży czy makijażu”. Organizacja Lobert dostała od administracji Trumpa pół miliona dolarów. Nazywa się „Kurwy dla Jezusa”.

2. Nie dziwi zatem fakt, że całym życiem oddani Jezusowi amerykańscy chrześcijanie gromadzą się wokół obecnego prezydenta. Mike Heath, twórca organizacji o nazwie „Duszpasterstwo pomocnych dłoni”, które stawia sobie za cel „pomaganie ludziom na całym świecie w poznaniu i pokochaniu Jezusa Chrystusa”, ogłosił właśnie własną pro-Trumpową krucjatę – „światową trasę pod tytułem »Faggots Are Maggots«”. W luźnym tłumaczeniu: „Pedaly to robaki”. „Pedaly to rzeczywiście robaki” – wyjaśnił. „Robaki jedzą zepsute ciało gnijących martwych rzeczy. Pedaly niczym się od nich nie różnią”. W razie gdyby ktoś z Czytelników był zainteresowany, mamy przykrą wiadomość: zgodnie z amerykańskich rozumieniem pojęcia „świat” „światowa trasa” Mike’a oznacza „przystanek na modlitwę i pokutę we wszystkich pięćdziesięciu stanach USA”.

3. Inny chrześcijański bojownik z USA Dave Daubenmire chce pozwać ligę NFL o 867 mln dolarów za „ujęcia krocza”, jak nazwał występ Shakiry i Jennifer Lopez w przerwie Super Bowl. Dave uważa, że producent programu „przeszkadza mu w wejściu do królestwa niebieskiego”, toteż jest on gotów „wejść na salę sądową i powiedzieć: oglądanie tego, co tam pokazyliście, grozi mi ogniem piekielnym”. Jako że chrześcijańscy integraliści są bardzo wrażliwi na demoralizację dzieci, Daubenmire chce też zapytać, „czy były jakieś ostrzeżenia, że twój 12-letni syn – którego hormony dopiero się budzą – może zobaczyć coś, co spowoduje, że podnieci się on seksualnie?”. A propos: w 2007 r. 24-letni wówczas syn Dave’a, Zachary, dostał 2 lata w zawieszeniu na 5 za dziecięcą pornografię, którą znalazł na jego komputerze.

4. Daniel Kwadwo Obinim to cudotwórca i założyciel Międzynarodowego Kościoła Drogi Bożej, który – jak nazwa wskazuje – jest lokalnym wyznaniem w Ghanie. Popisowy numer biskupa to wyciąganie paszportów z buta. W sieci można zobaczyć co najmniej 2 filmy, na których Obinim – zwany także „Aniołem Obinimem”, od kiedy ogłosił swojej kongregacji, że jest aniołem – wyczarował wiernym ich zagubione paszporty z własnego buta. Na oczach sektek wyznawców opiera błyszczący mokasyn na brzuchu stojącego przed nim wiernego lub wierniej, po czym wzniołszy do Boga modlitwę, przypominającą brzmieniem bolesną defekację, każe zdjąć sobie but. I oto z jego biskupiego buta wylatuje paszport. Nurtuje nas tylko jedno: po co wiernym Obinima paszporty? Dokąd chcą jechać? Takiego drugiego biskupa nie ma na całym świecie.

5. Ron Charles Brookman to pastor Jednoczącego Kościoła Australii – amalgamatu metodystów i prezbiterian – aktywny działacz organizacji Żywe Wody Australii, zajmującej się leczeniem z pedałstwa. Pastor Brookman przez wiele lat świecił przykładem, wyznając, iż zmagał się ze skłonnościami homoseksualnym od 11. roku życia, toteż teraz „wspiera mężczyzn pragnących uwolnić się od różnych form zepsutej seksualności”. Atoli ostatnio okazało się, że w walce ze zbroczeniem miał wzloty i upadki – wśród tych ostatnich wielokrotne molestowanie 13-latką. Prawda, było to w 1989 r., ale pastor miał wtedy lat 40 i nauczał innych, jak żyć moralnie. Występował też jako „były homoseksualista” przed komisją australijskiego senatu, rozważając projekt ustawy o małżeństwach gejowskich. Był, nie zgadnienie, przeciwko.

6. Parlament Filipin – jednego z dwóch, oprócz Watykanu, krajów na świecie, który nie dopuszcza rozwodów – debatuje nad zmianą prawa. Edcel Lagman, znany obrońca praw człowieka i poseł od 1987 r., proponuje ustawę, która dopuści rozwód wobec „nieodwracalnie zniszczonych małżeństw” w półrocznym procesie, za zgodą specjalnego prokuratora, który ustali, czy rzeczywiście któreś z małżonków dopuszcza się przemyocy, niewierności, hazardu lub narkomanii, czy nie da się stron pogodzić i czy nie są w zmo-wie. Filipiński episkopat i jego akolici są oburzeni. Jak pięknie ujął to szef federacji stowarzyszeń laikatu Rouquel Ponte, możliwość rozwodu z bijącym i ćpającym mężem „wyrządza poważną szkodę opuszczonemu małżonkowi i dzieciom, które przy rozwodzie rodziców doznają traumy”.

7. Skoro już mowa o dzieciach: amerykańska aktywistka antyaborcyjna Jamie Jeffries poskarżyła się na Twitterze. „Przeko-nałam matkę, żeby nie przeprowadzała aborcji. Jej dziecko ma teraz 6 miesięcy i właśnie zostało jej odebrane (niestety była to chyba uzasadniona decyzja). Ale ta rodzina podała MNIE jako preferowanego opiekuna dla tego dziecka. Ludzie, mnie?!?! Nie. Nie nie nie nie nie nie nie! I tak robię już za dużo dla sprawy, 6-miesięczne dziecko znamie mi życie, niszczy moje małżeństwo i zdrowie!”. Po tym jak jej post stał się głośny, Jamie uznała, że to nie fair: być może rzeczywiście „złe dobrała słowa”, ale zostały one „wyrwane z kontekstu”. Gwoli ścisłości kontekst był taki, że namó-wiła do rozrodo kobietę, która być matką nie chciała i – jak wynika z rozwoju sytuacji – nie powinna. Ale to nigdy antyaborcjonistom nie przeszkadzało.



■ Receptą na to, żeby **Unia Europejska** nie trzeszczała w szwach, żeby ten projekt był projektem z powodzeniem, jest powrót do tego, co wydawało by się, że jest bardzo proste, najważniejsze, ale dla tych, którzy próbują stanowić dyktat, jest jednak bardzo trudne (...) do **ojców założycieli**, do idei, jakie przyświecały, nie tylko gospodarcze, ale przede wszystkim **chrześcijańskie**. Dzisiaj ojcowie założyciele są w **procesie beatyfikacji**. Warto przywołać ich postawy życiowe tak, żeby pokazać, jak bardzo UE poszła w zupełnie drugim kierunku, jak zagalopowała się w kierunku różnego rodzaju ideologii: **ideologia LGBT**, ale też ideologia czy wręcz – jak mówi się w kręgach rozsądnych ludzi – **religia klimatu**.

Beata Kempa, Radio Maryja, 9 lutego

■ Wszystkie stare, a także współczesne **ideologie komunistyczne i neomarksistowskie** główne zadanie kierowały i kierują na **ateizację i demoralizację społeczeństwa**. Dokonują tego nie drogą perswazji, ale – jak to zawsze czyniły – drogą **administracyjnego i prawnego przymusu**. W tym celu tak formułują prawa i tak organizują system prawny, by **prawo ułatwiała czynienie zła**, a utrudniało czynienie dobra. (...) Nie ma ideologii komunistycznej, materialistycznej i lewicowej bez **ateistycznej**

propagandy i walki z religią. Stąd ideologie te zostały nazwane przez św. Jana Pawła II ideologiami zła. Nowi lewicowcy sięgają po stare środki, takie jak walka z religią, moralnością chrześcijańską, Kościołem, rodziną, a w ostateczności **walka z człowiekiem**.

ks. prof. Andrzej Maryniarczyk, Radio Maryja, 5 lutego

■ Wychowanie do przyjęcia ludzkiej płciowości i rodziny, a także czegoś, co jest nieporozumieniem, a mianowicie **edukacji seksualnej**, ale z czymś takim się spotykamy, nie powinno być przedmiotem **w programie szkolnym**. Szkoła nie jest optymalnym, to znaczy naturalnym i bezpiecznym, miejscem wprowadzenia w tajemnicę ludzkiego życia, ludzkiej płciowości.

prof. Marek Marczewski, PCh24.pl, 7 lutego

■ Dzisiaj przychodzą **nowe pokolenia neomarksistów** zebranych w nowej lewicy. Sięgają oni po zainfekowane **śmiertelnym wirusem idee ateizacji** i laicyzacji, co prowadzi do **samozniszczenia człowieka, społeczeństwa i kultury**. Co w takiej sytuacji możemy zrobić? Potrzeba odradzającej się dzisiaj nowej lewicy, **spadkobierczyń polskich komunistów**, przypominać w porę i nie w porę dzieje ich poprzedników i spustoszenie, do jakiego doprowadzili we wszystkich dziedzinach życia i kultury. Trzeba budzić świadomość wśród dzieci, młodzieży, a także rodziców i katechetów o **niezbylwalnej wartości nauki religii w szkole** dla pełnego rozwoju człowieka jako człowieka i jego wychowania. Tam bowiem, gdzie ginie religia, ginie to, co żywi cnotę. Pamiętajmy o starym polskim przysłowiu sprawdzonym przez niejednego człowieka, że **bez Boga ani do proga**.

dalej Maryniarczyk

■ Lektura dokumentu [standardów WHO dotyczących edukacji seksualnej] wstrząsnęła mną tak mocno, że przez kilka tygodni **nie mogłem dać sobie rady z przeżyciem**, którego doświadczyłem podczas czytania. Uciekałem się do próby racjonalizowania tego doświadczenia, by w jakiś sposób dać sobie radę z doświadczeniem **potężnego, przemysłowego i zaplanowanego ładunku zła i gwałtu skierowanego na dzieci i młodzież**, a jednocześnie zrozumiałem, jak łagodne i pełne troski o **zbawienie gorszylieli**, autorów tego dokumentu, są słowa miłosiernego i pełnego miłości naszego Pana, skierowane do uczniów, do nas: „Niepodobna, żeby nie przyszły zgorznięcia; lecz biada temu, przez którego przychodzą. Byłoby lepiej dla niego, gdyby kamień młyński zawieszono mu u szyi i wrzucono go w morze, niż żeby miał być powodem grzechu jednego z tych małych”.

dalej Marczewski

■ Czy nas, **Polaków i katolików**, stać na rozmowy z Panem Bogiem **na klęcząco**, mając świadomość, iż to On **wybrał nam Maryję, Matkę Bożą, na naszą Królową Polski**? Czy nas, Polaków XXI wieku, stać na rozmowy na klęcząco z Panem Bogiem o naszych **nieprzyjaciółach Polski**? Innymi słowy, czy Polskę naszych dni stać na to, aby była wzorem dla świata w jej klęczącej postawie sakramentalnej, w klęczącej postawie modlitwy, zadumy, refleksji oraz **ofiary polskiego krzyża** na miarę naszego **narodowego powołania**? Tylko Polski na kolanach przed Bogiem chrześcijańskim nikt i nic nie przewyżczy! I tylko Polska klęcząca jest „Polską Zmartwychwstania”.

ks. prof. Tadeusz Guz, „Nasz Dziennik”, 8 lutego

Wybrał
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl

Wieści z kruchty

➤ Największą sensacją w zeszłym tygodniu wywołała postać biskupa pomocniczego Jana Szkodonia z archidiecezji krakowskiej abepe Marka Jędraszewskiego. Wiedząc, że w „Dużym Formacie” pojawi się tekst z relacją dziewczyny, którą miał molestować, Szkodon o opuścił diecezję. Jędraszewski o sprawie miał się dowiedzieć znacznie wcześniej z korespondencji z Nuncjatury Apostolskiej, gdzie dorosła już dzisiaj kobieta składała skargę na Szkodonia. Zlekceważył sprawę. Ciekawe, czy Jędraszewski w najbliższym czasie będzie taki wyrówny w tropieniu „tęczowej zarazy”, czy weźmie sobie na wstrzymanie. W sprawie Szkodonia się zacukał.

➤ W kościele św. Maksymiliana Kolbego w Koninie ktoś w nocy wybił szyby w oknach. Kamera monitoringu zarejestrowała młodego mężczyznę w samej białźnie i na bosaka. Prałat Wojciech Kochański, proboszcz parafii, twierdzi, że nie jest to przypadkowa sytuacja, lecz efekt hejtu na Kościół i na księży, wylewający się w mediach. Nam by prędzej do głowy przyszło, że jest to efekt najebki alkoholem. W lutym w nocy popylać w samej białźnie?

➤ Minister edukacji Dariusz Piontkowski wraz z młodzieżą z jednego z warszawskich liceów wybrał się na wycieczkę do nowo otwartego Muzeum Jana Pawła II i Prymasa Wyszyńskiego w Warszawie. Utworzone ono zostało przy Świątyni Opatrzności Bożej. Ponieważ państwo nie powinno finansować budowy kościołów, wymyślono, że przy kościele powstanie muzeum, na które pieniądze mogą zostać przekazane. Nie spodziewamy się, że minister edukacji wyjaśni młodzieży, czym jest hipokryzja. Powiedział za to, że „godzina, dwie czy trzy spędzone tutaj będą o wiele ważniejsze niż wiele godzin lekcji odbytych w szkole”. Z tym się zapewne każdy licealista zgodzi. Wielu woli godzinę w nudnym kościele niż pięć godzin na nudnej matematyce.

➤ Prokurator Generalny Zbigniew Ziobro zakwestionował wyrok sądu w sprawie nauczycielki, która zdjęła krzyż w szkole. Emerytowana już dzisiaj nauczycielka Grażyna Juszczak w 2013 r. dwukrotnie zdjęła krzyż

w pokoju nauczycielskim szkoły w Krapkowicach (województwo opolskie). Sądy okręgowe i apelacyjny opowiedziały się po stronie nauczycielki, a Sąd Najwyższy odrzucił kasację skierowaną przez prokuraturę. To, że Ziobro kwestionuje prawomocne wyroki, nie jest rewelacją, ale że angażuje ministerialną maszynę w wojnę przeciwko komarowi, to zakrawa na niezdrową obsesję.

➤ Dwie kurie – wrocławska i bydgoska – muszą zapłacić solidarnie 300 tys. zł mężczyźnie, który 10 lat temu był gwałcony przez ks. Pawła Kanię – orzekł Sąd Okręgowy w Bydgoszczy. To precedensowy wyrok, bo po raz pierwszy podniesiono w sali sądowej i udowodniono, że biskupi przenosili sprawcę, chociaż wielokrotnie alarmowano ich o jego skłonnościach. W sprawie Kani tuszowania dopuściło się aż pięciu biskupów: abp Marian Gołębiowski – niegdyś kierował archidiecezją wrocławską, dzisiaj emeryt; kardynał Henryk Gulbinowicz – także z diecezji wrocławskiej, także emeryt; bp Edward Janiak – w owym czasie wrocławski biskup pomocniczy, dzisiaj biskup diecezji kaliskiej; abp Józef Kupny – kieruje archidiecezją wrocławską od 2013 r.; bp Jan Tyrawa – kieruje diecezją bydgoską. Teoretycznie papież może i powinien zawieść urzędujących biskupów po takim wyroku, ale raczej tego nie zrobi.

➤ Aktywiści organizacji pro-life, podnieceni obrazkami z Marszu dla Życia, który przeszedł ulicami Waszyngtonu, a wraz z nim Donald Trump, myślą o zorganizowaniu takiego marszu w Warszawie. Chcieliby, aby Andrzej Duda pomaszerował razem z nimi. Piotr Guzek z Polskiego Stowarzyszenia Obrońców Życia Człowieka zaznaczył jednak: „Wolałbym na tym marszu zobaczyć prezesa PiS Jarosława Kaczyńskiego jako decydenta obozu rządzącego; osoby, która decyduje o tym, czy obrona życia dzieci nienarodzonych w Polsce pod względem prawnym zostanie wzmocniona”. Nawet nienarodzone dziecko wie, że Duda siedzi przy stole, ale to Kaczyński ustawia grę i rozdaje karty.

➤ Centralne Biuro Śledcze Policji w Rzeszowie zatrzymało 39-letniego księdza. Na plebanii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Dębach Szlacheckich miał skitraną substancję GBL będącą jednym ze składników tzw. pigułki gwałtu. Podejrzewany jest nie tylko o posiadanie tej rozrywkowej sub-

stancji, ale także o jej rozprowadzanie. Na wniosek prokuratora wobec księdza zastosowano środki zapobiegawcze w postaci dozoru policyjnego oraz zakazu opuszczania kraju. Klecha skorzystał z okazji i zniknął. Nie wiadomo, gdzie przebywa. Biskup też nie wie.

➤ Nuncjatura Apostolska ma najwyraźniej w odbycie owieczki gdańskiego Kościoła, które pasie abepe Głódź. Owieczki domagają się zmiany pasterza i pisały w tej sprawie listy do nuncjusza apostolskiego abp. Salvatore Pennachiego oraz do prymasa Polski abp. Wojciecha Polaka. Nie odpowiedzeli. Pod koniec lutego gdańscy wierni chcą przyjechać do Warszawy i pojawić się pod siedzibą nuncjatury. Dobrze, że to ogłaszają z wyprzedzeniem. Nuncjusz będzie mógł pojechać do kogoś z wizytą na obiad, zamiast siedzieć w swoim pałacu z protestującymi za oknem. Tuż obok obłady wydaje prezesa Trybunału Konstytucyjnego Przyłębska.

➤ Na turystycznym szlaku na Kaszubach w trzynastu sołectwach gminy Linia przez wiele lat można było napotkać 13 drewnianych rzeźb przedstawiających postacie opisane przez badacza kaszubszczyzny Aleksandra Labudę w książce „Bogowie i duchy naszych przodków”. Postacie pochodzą z przedchrześcijańskich słowiańskich wierzeń. Na wietrze i deszczu rzeźby zaczęły jednak próchnieć. Trzeba je było zakonserwować. W 2019 r. zaczął to robić artysta Jan Redko. Problem jest jednak z powrotem rzeźb na swoje miejsce. Burzy się przeciwko temu miejscowa katolicka ludność, podburzana przez proboszczą z Rozłazina Sławomira Kozioła. Kozioł napisał list do wiernych: „Miejście dla tych dawnych, pogańskich pamiątek jest w muzeach, skansenach i ośrodkach etnograficznych. Stawianie ich w przestrzeni publicznej, w miejscach codziennego życia i pracy jest formą bałwochwalstwa i świadomym lub nie, oddawaniem kultu świętym, bożkom. Jako ludzie, którzy stawiają, również w przestrzeni publicznej krzyże i kapliczki, stajemy się śmieszni i sprawdzia się zasada – Panu Bogu świeczka, a diabłu, ciemna wsi głupia, ogarek”. Ks. Kozioł odnosi sukcesy. W miejscowości Osiek zamiast figury Jabłona – opiekuna ogrodów i sadów – dzięki staraniom proboszczą postawiono figurę Chrystusa Króla.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

14 lutego do kin wchodzi film „Zenek” oparty na biografii króla disco polo Zenona Martyniuka – dla przyjaciół i rodziny Zenka, a przecież wszyscy Polacy to jedna rodzina. Termin premiery nie jest przypadkowy: w końcu to ukochana muzyka Polaków, kiedy więc, jeśli nie w walentynki? „Zenek” konkurować będzie z *soft porno* „365 dni” na podstawie prozy Blanki Lipińskiej.

Biografia Martyniuka

dla władz TVPiS stanowi istotną część polskiej kultury, ponieważ to pierwsza samodzielna kinowa produkcja Telewizji Polskiej, a nie, jak dotychczas, tylko koprodukcja. Kurwizja stawia na rodzinę: reżyserem „Zenka” jest Jan Hryniak, a autorką scenariusza jego żona Marta. Córka Krzysztofa Kieślowskiego zresztą, co daje niecodzienną zbitkę ponuro mdłego kina moralnego niepokoju z radosnym kiczem disco polo.

Zenek Martyniuk stał się symbolem powrotu muzyki chodnikowej na salony, ikoną nurtu pogardzanego przez elity III RP, nadzwyczajne kasty i gorszy sort, a uwielbianego przez sól tej ziemi. Reaktywacja muzyki tanecznej udała się PiS-owi nawet lepiej niż wskrzeszenie pamięci o żołnierzach wyklętych, kulturowanie dziedzictwa J.P.2 czy kult smoleński.

„Jestem dumny z tego, że to disco polo prawdziwe, takie artystycznie interesujące, na pewnym poziomie artystycznym, jest obecne w telewizji, ale nie na zasadzie dominacji, tylko na zasadzie takiego uzupełnienia i rozsądnego balansu w niektórych koncertach, i to jest obecność moim zdaniem nieinwazyjna i bardzo proporcjonalnie właściwa” – tłumaczy dumny Jacek Kurski. Do Martyniuka zwraca się „ekscelencjo” i porównuje go z Pendereckim, co jest krzywdzące, bo twórczości Zenka jednak ktoś słucha. Na poparcie swoich słów Kurski urządził Martyniukowi benefis w Filharmonii Podlaskiej, której istnienie dzięki temu odnotowali z niemałym zdziwieniem białostoczanie. Przy okazji podania do publicznej wiadomości informacji o tym, że powstaje film o Zenku, prowadzący profil TVP Info na Twitterze porównał go z kolei do Ryśka Riedla, nieżyjącego lidera zespołu Dżem, o którym powstał film „Skazany na bluesa”. To kolejne nadużycie i skandal, bo nic nie wiadomo o tym, aby wokalista zespołu Akcent raczył się heroiną.

Disco polo dzięki Kurskiemu stało się tematem politycznym. Tak to się już dzieje w państwach autorytarnych, że wszystko ma posmak polityki. Jako że prezes telewizji zwanej publiczną wziął pod skrzydła wykonawców tego gatunku, współczesny opozycjonista może poczuć dyskomfort, gdy na weselu kogoś bliskiego przyjdzie mu tańczyć do takich hitów jak „Majteczki w kropeczki” czy „Przez twe oczy zielone”. Manifestacyjny bojkot wchodzi oczywiście w grę, ale chęć strajku topnieje po podaniu rosołu i kilku kolejkach. Zamiast więc oddawać bez walki disco polo, udowodnijmy prezesowi, że wpuszczając na wizję Zenka Martyniuka, wprowadził do telewizji konia trojańskiego, którego twórczość godzi w fundamenty polityki PiS.

Oficjalny rodowód

disco polo jako ojca podaje *italo disco*, czyli prawie to samo, tylko że śpiewane po włosku. Byłoby to jeszcze do przełknięcia, bo Italia to wiadomo: Rzym, Watykan, czerwone maki na Monte Cassino, co zamiast rosy piły polską krew. Prawda jest jednak zdecydowanie bardziej szokująca: piosenka chodnikowa została przyniesiona do Polski na radzieckich bagnetach, przepraszam, kasetach.

Pierwsze discopolowe hity były ordynarnymi rzywkami z popularnych w byłych republikach radzieckich piosenek.

Na początku lat 90. nikt się specjalnie prawami autorskimi nie przejmował. Adaptacji na polskie warunki śpiewanych w języku Stalina bal-

Pavarotti Jacka Kurskiego

Promując Zenka Martyniuka, prezes TVP szerzy czerwoną i tęczową zarazę oraz kult multikulti.

lad sprzyjała geograficzna bliskość matecznika disco polo – Podlasia – do wschodniej granicy. Twórcy muzyki tanecznej nie mieli zresztą poczucia, że kogokolwiek okradają. „**My jesteśmy z Podlasia i wiele z tych melodii funkcjonuje, przynajmniej wtedy funkcjonowało, w obiegu ludowym. Poza tym przyjeżdża dużo osób z Rosji, Białorusi**” – mówił lider zespołu Skaner Robert Sasinowski autorce zbioru reportaży o disco polo „Nikt nie słucha” Judyty Sierakowskiej. Jego band wygrał Pierwszy Ogólnopolski Festiwal Muzyki Disco Polo w Koszalinie w 1996 r., wprawiając publiczność w ekstazę piosenką „Nadzieja” na melodię rosyjskiej piosenki „Wiesna” śpiewanej przez Wadima Kozaczennę. „**No, sporo takich pierwszych hiciorków było dość mocno inspirowanych wschodnimi rzeczami. Ale dzięki temu tamte piosenki jakoś przetrwały, bo teraz nikt by już o nich nie pamiętał**” – usprawiedliwiał się Sasinowski. Śpiewanie cudzych piosenek nie jest przestępstwem, wystarczy odpowiednia umowa z autorem oraz wymienienie nazwiska na okładce płyty – nazywa się to *cover*, a nie plagiat. W szalonych latach 90. nikt się takimi pierdołami nie przejmował, a niektórym artystom zostało to do dziś.

Ciekawym przykładem

inspiracji jest inna piosenka Skanera – „American boy”. Wyraźnie słychać w niej echo utworu o takim samym tytule rosyjskiego zespołu Kombinacja. W oryginale podmiot liryczny tekstu – młoda bałajakarka – marzy o życiu na Jamajce z jankeskim księciem. Marzeniem prostej rosyjskiej dziewczyny jest porzucenie szarżyny postradzieckiej rzeczywistości na rzecz kolorowego świata amerykańskiego konsumpcjonizmu. W refrenie wzywa tytułowego amerykańskiego chłopca, by ją porwał do lepszego świata. „**Moskwo, żegnaj!**” – bez sentymentu rzuca w kierunku stolicy.

O piosence dyskutowali publicyści i socjologowie. Amerykanie z dumą opisywali ją w gazetach jako przykład tęsknoty *homo sovietica* za ichnimi luksusami. W politycznym kontekście piosenka znowu pojawiła się w 2017 r., gdy Aleksiej Nawalny uczynił z niej główny muzyczny motyw swojego filmu dokumentalnego „On wam nie Dimon”, opowiadającego o majątku Dmitrija Miedwiediewa. Zdaniem reżysera – majątku zdobytym alternatywnie uczciwymi metodami. „American boy” został wykorzystany w utworze, bo kojarzy się z byłym premierem i prezydentem Rosji od 2010 r., kiedy to do sieci wrzucono filmik, na którym Miedwiediew płaś w takt hitu Kombinacji na balu absolwentów wydziału prawa Leningradzkiego Uniwersytetu Państwowego. Swoim występem przyciła nawet legendarne popisy Borysa Jelcyna. Ot, zawiłe losy dyskotekowej piosenki... Polska wersja pozbawiona jest geopolitycznego kontekstu. Wyjałowionej z rockowej zadziorności aranżacji towarzyszy wykastrowany tekst o niczym. Jest to jednak wyraźny rosyjski ślad w polskiej muzyce rozrywkowej. Liczymy na

solidne śledztwo

Cezarego Gmyza i komisję Antoniego Macierewicza.



ILUSTR. WŁODEK KIERUS

nad „Z” w tytule sprawia wrażenie, że mamy do czynienia z filmem „Zenek”. Ale to Martyniuk jest centralną postacią murala w Białymstoku, a nie hejterzy.

Jako się rzekło, disco polo w powijkach funkcjonowało na specyficznych zasadach. Swoją drogą to zdumiewające, że w tak schematycznej, prostej harmonicznie, aranżacyjnie i tekstowo muzyce nagminnie występują plagiaty. Polacy muszą kraść nawet najprostsze motywy od muzykalniejszych nacji. Z drugiej strony na ich usprawiedliwienie można wziąć argument, że losowa kombinacja trzech akordów i kilku nut może sprawiać wrażenie gdzieś już słyszanej... Nie bądźmy czepialscy. Sam Martyniuk przyznaje się do pokrewieństwa własnej twórczości z folklorem cygańskim. W wywiadach podkreśla duchowe braterstwo z Romami, a także fizyczne znajomości z przedstawicielami tej społeczności. „**Występowałem razem z rodowitym Romem – Kazikiem Wysockim. Może dlatego w naszych piosenkach przewijają się cygańskie motywy. Niektórzy nazywają mnie nie tak jak media królem disco polo, ale białym Cyganem**” – tłumaczył w białostockiej odnodze „Wyborczej”. Spotkaliśmy więc już po drodze Włochów, Rosjan (obywateli ZSRR), Białorusinów, Litwinów i Romów. Całkiem nieźle jak na narodową muzykę propagowaną przez telewizję pod rządami nałogowych

wdychaczy polskości.

Jak na rdzennie polską muzykę, disco polo stanowi zaskakujący miszmasz kulturowy. A wszystko to pod auspicjami dbającej o to, żeby nam w obcych językach nie śpiewano o miłości, TVPiS. Multikulturowe źródła disco polo bezczelnie potwierdza, a wręcz podkreśla reżyser „Zenka”, wspomniany zięć Kieślowskiego, który w wywiadzie dla tygodnika „Sieci” tak mówił o Podlasiu: „**Na potrzeby filmu poznawałem ten region od trochę innej strony. Bardziej wewnętrznej, ludzkiej; również złożoności tamtejszego społeczeństwa, bo to obszar przygraniczny, więc mieszą się tam i przenikają różne wpływy. Chciałem to również pokazać. Współistniejące obok siebie: cerkiew, kościół, a czasem też synagogę. Poza tym sam Zenek często podkreśla swoje związki z polskimi Romami, którzy zajmowali się spływem po Bugu, wędrowali z taborami, przywozili swoje melodie. Jest w tym rejonie duża różnorodność kulturowa**”. I to wszystko za pieniądze abonentów i bonusy z Sejmu! Ktoś tu chyba przegapił pelzającego wirusa multikulti.

Jest jeszcze gorzej, niż można się było spodziewać. Epizod w filmie „Zenek” zagrał idol tytułowego bohatera, brytyjski piosenkarz Limahl. Były wokalista zespołu Kajagoogoo znany jest głównie z wykonywania przeboju „Never Ending Story” („Niekończąca się opowieść”), tytułowej piosenki do filmu nazywającego się identycznie (jak piosenka, a nie Limahl). I wszystko fajnie, ale Limahl, czyli Christopher Hamill, jest niekryjącym się ze swoją orientacją gejem, a jak gdyby tego było mało, to także buddystą. Jest również ikoną metroseksualnego stylu ubierania się oraz fryzury znanej w języku Szekspira jako *business in the front, party in the back* („biznes z przodu, impreza z tyłu”), w Polsce występującej jako styl na „czeskiego piłkarza”, utrwalonej w piosence Kazika Staszewskiego „12 groszy” dystychem: „**A najlepsza fryzura, jeśli jeszcze nie wiecie: krótko z przodu, długo z tyłu i wąsy na przedzie**”.

Tego na katolicki kraj już za wiele. Nie dość, że pochodzenie etnicznie podejrzane, to jeszcze orientacja seksualna i tożsamość płciowa niepewna. Czy to jest ta słynna misja, na którą pobożny naród łoży tyle pieniędzy? Miejmy nadzieję, że za odstawienie takiej fuszerki będą to ostatnie walentynki Kurskiego w TVP. „Zenek” na pewno uratuje (finansowo) małżeństwo Hryniaków, ale w świetle przytoczonych faktów może doprowadzić do rozvodu Jacka z Kurwizją.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

REBUS 2



Minister kultury dostaje klapsy.

„Warto odnotować, że trzeci rok z rzędu polski film, wspierany profesjonalnymi działaniami Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej, jest obecny podczas ceremonii rozdania Oscarów” – napisał na Twitterze Piotr Gliński. Wicepremier na siłę chce się przyznawać do kogoś i czegoś, kto i co niekoniecznie chce przyznawać się do niego.

Gliński pokotem kładzie Srokę

3 lata temu polski film nie był „obecnym podczas ceremonii rozdania Oscarów”, tu Gliński się pomylił, pisząc o „trzecim roku z rzędu”. Na polskiego kandydata do Oscara w kategorii Najlepszy Film Nieanglojęzyczny w 2017 r. wybrano „**Pokot**” w reżyserii Agnieszki Holland i jej córki Kasi Adamik, według powieści Olgi Tokarczuk „Prowadź swój pług przez kości umarłych” (autorki, która dostała Nobla, ale polski minister kultury, choć „próbował przeczytać jej książki”, to „nigdy nie dokończył”, ponieważ autorka jest „środowiskowo zogniskowana”, a „to nie jest jego środowisko”).

To, co sądzi Holland na temat obecnych rządów PiS i ministra Glińskiego, można by cytować na wielu stronach. Jedną z jej łagodniejszych wypowiedzi: „**Polskie władze są na wojnie z kulturą próbując cenzurować dzieła, ludzi, instytucje i wydarzenia**”.

„Pokot” wyprodukowało podległe ministrowi kultury Studio Filmowe „Tor”, a koproducentami byli Niemcy, Szwedzi, Czesi i Słowacy. Film kosztował ok. 14 mln zł, z czego PISF dał 3,5 mln zł, czyli jedną czwartą. Podstawowe finansowanie filmu zapewniły europejski Program Media oraz Polsko-Niemiecki Fundusz Co-Development. Film otrzymał także dofinansowanie z europejskiego funduszu Eurimages.

„Pokot” nie otrzymał nominacji amerykańskiej akademii. Nie zebrał też jakichś szczególnych europejskich nagród. Jednak z punktu widzenia przebiegu ujarzmiania środowiska filmowego przez ministra Glińskiego był to film ważny.

Jego fabuła musiała wywołać reakcję. Cytując abepe Jędraszewskiego, można by powiedzieć, że film ten był przesiąknięty grzechem ekologizmu i animalizmu. W Sudetach dochodzi do serii morderstw, których ofiarami są myśliwi. Ale to myśliwych film pokazuje jako ludzi bezdusznych, okrutnych wobec zwierząt i nieszanujących świata przyrody. Kilka stowarzyszeń lokalnych, myśliwskich i katolickich napisało protesty do Glińskiego, twierdząc że film jest „antypolski” i „antykatolicki”. Pojawił się postulat zablokowania nominacji filmu jako polskiego kandydata do Oscara oraz zdymisjonowania szefowej PISF Magdaleny Sroki.

Sroka została dyrektorką Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej jesienią 2015 r., zastępując na stanowisku Agnieszkę Odorowicz, która wcześniej pełniła tę funkcję przez dwie kadencje.

Co kręci Gliński



rys. MARCIN BONDAROWICZ

Nieoczekiwanie w obronie Sroki wystąpił kardynał Stanisław Dziwisz – bo w życiu nic nie przebiega według prostych podziałów – tłumacząc samemu Jarosławowi Kaczyńskiemu, że to dzięki Sroce pogrzeb jego brata Lecha na Wawelu odbył się bardzo sprawnie i godnie. Sroka w 2010 r. była wiceprezydentem Krakowa i odpowiadała za organizację pogrzebu. Niewiele to Sroce pomogło. Posada dyrektora PISF, który dysponuje rocznym budżetem 170 mln zł na dofinansowanie produkcji filmowych, jest zbyt atrakcyjna.

9 września 2017 r. komisja oscarowa Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej zgłosiła „Pokot” jako polskiego kandydata do Oscara, 9 października Gliński odwołał Srokę ze stanowiska, wbrew opinii Rady Programowej PISF. Zrobił to przed upływem 5-letniej kadencji, choć było to sprzeczne z ustawą. Gliński zapowiedział nawet, że woli zapłacić karę, gdyby sąd miał taką nałożyć, niż tolerować porządku panujące w PISF.

Przy tej okazji godzi się nadmienić, że Gliński we wrześniu 2019 r. podjął decyzję o zamknięciu Studia Filmowego „Tor”. Gliński chce zamknąć Wytwórnię Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, Studio Filmowe „Kadr”, Studia Filmowe „Zebra”, Studio Miniatur Filmowych. Planuje w ich miejsce powołać jedną scentralizowaną Wytwórnię Filmów Fabularnych i Dokumentalnych. Branża uważa ten pomysł za absurdalny. Ale na wojnie jak na wojnie. Jeśli nie da się przeciwnika nakłonić do przejścia na naszą stronę, to trzeba zabrać mu armaty.

Gliński na zimno

Czy mogło spotkać Glińskiego coś gorszego niż „Pokot”? Mogło.

2 lata temu jako kandydata do Oscara wybrano w Polsce film Pawła Pawlikowskiego „**Zimna wojna**”. Wy-

bierała komisja pod przewodnictwem nowego już, wskazanego przez Piotra Glińskiego szefa PISF Radosława Śmigulskiego.

„Zimna wojna” to film według oryginalnego scenariusza, nad którym pracował m.in. pisarz Janusz Głowacki (zmarł przed powstaniem filmu). Historia miłości dwojga ludzi, którzy nie potrafią być razem, ale jednocześnie nie potrafią bez siebie żyć. W tle lata 50. w Polsce, Jugosławii, Berlinie, Paryżu. „Zimna wojna” zdobyła Europejską Nagrodę Filmową (porównywaną do amerykańskich Oscarów) w kategorii najlepszy film. Na Festiwalu Filmowym w Cannes dostała nagrodę za najlepszą reżyserię. Amerykańska Akademia Filmowa nominowała go do Oscarów w trzech kategoriach: najlepszy film nieanglojęzyczny, najlepszy reżyser, najlepsze zdjęcia. Film jest koprodukcją polską, francuską i brytyjską. Produkowały go 3 prywatne studia filmowe. Koszt to ok. 18 mln zł, z czego PISF dorzucił 3 mln zł, czyli udział Glińskiego wynosił zaledwie jedną szóstą.

Film nie wzbudził kontrowersji, ale

chwalenie się przez Glińskiego Pawlikowskim to już tańczenie z zapalnikami w magazynie taśm celuloidowych.

Wszak Pawlikowski to reżyser „**Idy**”, filmu, który kilka lat wcześniej – w 2014 r. – nie tylko był nominowany do Oscara, ale tego Oscara dostał. „Ida” wywołała w Polsce furie środowisk prawicowych: „**Nie chcemy tego Oscara**” i „**Tylko świnię siedzą w kinie**”. Reduta Dobrego Imienia zbierała podpisy pod petycją do PISF, aby film opatrzone krytycznymi komentarzami przy wyświetlaniu. Związany z Instytutem Kultury Prawnej Ordo Iuris portal Pch24.pl nazwał Oscara dla fil-

mu „**Oscarem dla morderców**”, a film „**łajnem wrzucanym do własnego gniazda**”. Posłowie PiS wystosowali do Glińskiego interpelację z pytaniem, „**czy ma zamiar wspierać antypolskie produkcje filmowe**”. Ówczesna premier Beata Szydło w wywiadzie dla katolickiego tygodnika „Niedziela” powiedziała: „**Według mnie akurat ten na pewno nie był promocją Polski, raczej rysował jej negatywny obraz. Pod względem artystycznym też mi się niespecjalnie podobał. Zdziwiłam się, że dostał Oscara**”.

Trudno się dziwić, że Pawlikowski nosił w sercu żal. Po otrzymaniu Złotej Palmy za „Zimną wojnę” wziął odwet. Francuskiej agencji prasowej AFP powiedział, że w Polsce rząd stosuje cenzurę, a on jest na indeksie twórców zakazanych. Po powrocie do kraju dodał: „**Polski rząd ma zapędy autorytarne**”. Gliński poczuł się wywołany na czerwony dywan. Zaczął zapewniać, że w Polsce nie istnieje coś takiego jak „czarna lista”, a Paweł Pawlikowski jest „**artystą wspieranym przez państwo i docenianym**”. Pawlikowski zareagował oświadczeniem: „**Nie zmienia to faktu, że w rządowej telewizji TVP jak i w instytucjach kultury polskiej za granicą istnieje lista niepożądanych, niewystarczająco patriotycznych artystów, na której – wraz z wieloma wybitnymi kolegami – figuruję. (...) Zabieranie państwowego dofinansowania ważnym, lecz politycznie niewygodnym festiwalom, teatrom lub czasopiśmami również nas – twórców kultury – napawa niepokojem i jest formą cenzury ekonomicznej**”.

Gliński z zawstydzonym ciałem

„**Boże Ciało**”, wytypowane przez PISF do Oscarów za 2019 r. i ostatecz-

nie nominowane przez Amerykańską Akademię Filmową, wyprodukowało małe prywatne studio z Lublina Aurumfilm. Film kosztował ok. 5 mln zł, z czego PISF dorzucił 1,5 mln zł, czyli trochę mniej niż jedną trzecią.

Jan Komasa, reżyser „Bożego Ciała”, jest tak grzeczny, że wprost nie przykrego ani o pisowskim rządzie, ani o Glińskim nie powiedział. Ale też trudno uznać, że nominowany film odpowiada na zapotrzebowanie obecnej władzy. Młody człowiek po odbyciu kary w poprawczaku przyjeżdża do małego miasteczka i pod nieobecność lokalnego księdza udaje duchownego. Prawicy trudno się zdecydować, czy wymowa jest antykatolicka, czy odwrotnie. Reżyser nie sufluje łatwych odpowiedzi. Podobnie zresztą było przy jego poprzednim filmie o powstaniu warszawskim „Miasto 44” – nie było w nim apologii zrywu, ale też rozliczania winnych dramatu. Z ust ginących młodych powstańców nie padają słowa: „Polska”, „ojczyzna”, „wiera”.

Wskazówką mogłoby być pismo metropolity przemyskiego abp. Adama Szala, dotyczące „Bożego Ciała”: „**Patrząc ogólnie na prezentowany scenariusz, budzi on z katolickiego i kościelnego punktu widzenia wiele kontrowersji. Powtarzają się w nim wielokrotnie sceny o charakterze antychrześcijańskim i antyklerykalnym. Moralność chrześcijańska jest oceniana subiektywnie i tendencyjnie. Tradycyjna obyczajowość jest z premedytacją mącona i burzona. Sceny z duchowymi są nacechowane negatywnymi konotacjami, co naraża na szwank autorytet kapłana i niebezpieczeństwo przypisywania filmowych cech prawdziwym duchowym. Scenariusz jednoznacznie deprecjonuje kapłaństwo i urzędy z nim związane (proboszcza, wikariusza). (...) Kapłaństwo w scenariuszu jest przedstawione jako łatwy sposób na życie i bogacenie się. Odziera to posługę sakramentalną z jej istoty i właściwego sensu funkcjonowania duchownych, w których racją posługi jest służba Bogu i ludziom**”. I na koniec: „**Wielość sensacyjnych, kontrowersyjnych, na dodatek niewyjaśnionych teologicznie czy kanonicznie postaw wobec zasadniczych świętości naszej wiary, sakramentu, struktury Kościoła uczynią więcej szkody i staną się przyczyną raczej wątpliwości i zamieszania aniżeli zbudowania dla wiernych**”.

Sam Komasa milczy. Wprost nie mówi nic, ale to, co myśli, można wywnioskować z jego wypowiedzi okółofilmowej: „**Kiedy księży z ambony otwarcie wspierają jedną opcję polityczną, wpuszczają na Jasną Górę nacjonalistów, nazywają część wiernych tęczową zarazą. To już kiedyś było, ale na marginesie Kościoła, teraz weszło do mainstreamu. To dla mnie głęboko wstydlive**”. To jest wstyd także za Glińskiego. Bo to on jest z tej opcji, którą księży wspierają z ambony.

Najlepszy film, jaki się Glińskiemu udał, to ten, w którym sam zagrał główną rolę. Gdy go Jarosław Kaczyński na tablicie w Sejmie pokazywał. I nie powinien nigdy tabletu opuszczać.

WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl



Wiktor turecka

Po lewej to zdjęcie Marcina Bondarowicza, artysty, który od lat publikuje rysunki w „NIE”.

A po prawej rysunek Bondarowicza nagrodzony pierwszą nagrodą w 7th KalDer Bursa International Cartoon Contest – konkursie rysunkowym organizowanym w tureckiej Anatolii.

Tematem konkursu była „Istota zmian na świecie”. Rozwinięcie tematu: rozdźwięk między niesłuchanym postępem technologicznym a ubóstwem i wykluczeniem społecznym.

W konkursie oceniano 932 rysunki 362 artystów z 51 krajów. Wygrał Bondarowicz!

W tym roku to już druga jego nagroda w konkursach międzynarodowych – w indyjskim International Cartoon Contest & Exhibition JaiJagat 2010 rysunek Bondarowicza znalazł się wśród pięciu wyróżnionych prac. W zeszłym roku został nagrodzony brązowym medalem w chińskim International Cartoon Competition on Environmental Protection.

Gratulujemy!



rys. MARCIN BONDAROWICZ



Luki w pamięci i kłopoty z liczeniem.

9 lutego upłynęło 80 lat od pierwszej masowej wywózki Polaków z Kresów na Syberię. W latach 1930–1941 doszło do czterech takich deportacji. Telewizja rządowa z uporem powtarza, że wywieziono ponad milion naszych rodaków. Dane te najwidoczniej bierze z powietrza, ignorując fakty. Liczba wywiezionych od dawna bowiem została ustalona na podstawie ujawnionych jeszcze w czasie jelicynowskiej odwilży archiwaliów radzieckich. Niebudzących raczej wątpliwości, gdyż zawartych w tajnej korespondencji wewnętrznej władz, w meldunkach Berii do Stalina, w kalkulacjach logistycznych dotyczących transportu, wyżywienia itp. W dokumentach nie przeznaczonych dla propagandy, lecz dla wewnętrznej urzędowej informacji.

A.

Według tych danych publikowanych przed laty przez IPN oraz Instytut Studiów Politycznych PAN, w pierwszej deportacji 9 lutego 1940 r. wywieziono około 140 tysięcy osób, głównie osadników wojskowych, pracowników służby leśnej i administracji wiejskiej. Była to najbardziej tragiczna, obfitująca w ofiary deportacja. Odbываła się zimą w surowe mrozy, w słabo przystosowanych do tego wagonach towarowych (tzw. *tiephuszki*). Był to rodzaj transportu masowo w Rosji, a także w CK Austrii stosowany, głównie w czasie wojny, w transporcie pofskowym. Wagony z napisami „*40 Mann oder 8 Pferde*” („40 ludzi lub 8 koni”) wiele lat po wojnie światowej krążyły w taborze kolejowym.

Kolejna deportacja odbyła się w sobotę 13 kwietnia 1940 r. i dotknęła głównie miasta. Wywieziono około 60 tysięcy osób, przede wszystkim inteligencji. Rodziny internowanych oficerów, policjantów i urzędników wymiaru sprawiedliwości oraz wszystkich aresztowanych z powodów politycznych. Deportowanych skierowano tym razem do obwodów omskiego, nowosybirskiego i do północnego Kazachstanu.

Następna, trzecia deportacja rozpoczęła się w środę 29 maja 1940 r. i trwała kilka tygodni. Wywieziono około 80 tysięcy osób, tzw. *bieżeńców*, czyli uciekinierów z zachodniej i centralnej Polski z września 1939 r. Do marca 1940 r. mieli oni możliwość powrotu na swoje strony. Wielu z nich, zwłaszcza Żydów, z tej możliwości nie skorzystało, słusznie obawiając się niemieckich przesładowań. W kilka miesięcy później zesłano ich na Syberię. Narzekali na tę krzywdę. Po kilku latach okazało się, że uratowali w ten sposób życie, choć oczywiście nie to było zamiarem przeladowców.

I wreszcie czwarta deportacja, poprzedziła bezpośrednio wybuch wojny niemiecko-radzieckiej. Dotknęła przede wszystkim Białostoczczyznę i Wileńszczyznę oraz kraje nadbałtyckie. Deportowano osoby uznane przez NKWD za element niepożądany w strefie granicznej. Jej rozmiary są trudne do oszacowania, część transportów ruszyła już po wybuchu wojny i dostała się w ręce Niemców. Zapewne jednak kilkadziesiąt tysięcy deportowano, w tym sporo Polaków. Rodzina Jaruzelskich padła ofiarą tej deportacji.

B.

Według źródeł NKWD we wszystkich tych deportacjach łącznie wywieziono 320 tysięcy osób. 12 sierpnia 1941 r. Prezydium Rady Najwyższej ZSRR na podstawie porozumienia podpisanego w Londynie przez premiera generała Władysława Sikorskiego i ambasadora radzieckiego Iwana Majskiego udzieliła amnestii obywatelom polskim – deportowanym, a także więzionym w systemie Gułagu i obozach jenieckich. Oznaczało to przywrócenie wolności poruszania się, ale tylko w azjatyckiej części ZSRR i poza miastami o szczególnych wymogach meldunkowych. W kilku znajdujących się w obiegu naukowym poufnych informacjach Berii dla Stalina liczba obywateli polskich, którym udzielono w 1941 r. amnestii, waha się od 391 575 (1 października

1941 r.) do 389 041 (15 stycznia 1943).^{*} Nie ma powodów, aby sądzić, że Beria wprowadzał szefa w błąd, zatem trzeba przyjąć, że te informacje odpowiadały rzeczywistości. Tylu obywateli polskich z Kresów znajdowało się wbrew swej woli latem 1941 r. w ZSRR w obozach jenieckich, łagrach, więzieniach i na zesłaniu. Rzeczywistą liczbę represjonowanych trzeba jednak powiększyć o 25 tysięcy zamordowanych z listy katyńskiej i co najmniej o drugie tyle zmarłych w więzieniach i łagrach. Liczba deportowanych w tych informacjach sięga trzystu tysięcy. Ubytek około 20 tysięcy w stosunku do danych wyjściowych da się wyjaśnić stosunkowo wysoką śmiertelnością w trudnych warunkach bytowania. Poprawność tych szacunków pośrednio potwierdza wyczerpanie się pod koniec 1943 r. polskich wojskowych rezerw mobilizacyjnych. 76 tysięcy żołnierzy ewakuowało się do Iranu z armią Andersa, nieco ponad 40 tysięcy powołano do polskiego korpusu generała Zygmunta Berlinga. Więcej rezerw nie było. Dopiero wkroczenie Armii Czerwonej do dawnych polskich województw wschodnich pozwoliło dodatkowo uzupełnić berlingowski korpus i sformować 1 Polską Armię.

Bezsponna liczba uwięzionych i deportowanych na Kresach między wrześniem 1939 r. a czerwcem 1941 r. sięga zatem 450 tysięcy. Czyli więcej niż 10 procent polskiej populacji na tych terenach. To bardzo dużo. W starożytnym Rzymie taką represję określano mianem dziesiątkowania i traktowano jako wielkie okrucieństwo. Sztuczne zwielokrotnianie tej martyrologii nie dodaje jej powagi, jedynie podważa jej wiarygodność. Po osiemdziesięciu latach wypada zachować ścisłość i miarę.

C.

Druga rocznica, 100-lecie zaślubin Polski z morzem 1920 r. W Pucku świętowano ją z należytą pompą. Była historyczna rekonstrukcja, aktor w roli generała Józefa Hallera, był też piękny koń. Przemawiali prezydent Andrzej Duda i minister Mariusz Błaszczak. Rzecznie i patriotycznie. Ale jednak coś zagrzętało. Bez zakłamania się nie obeszło, brzydkiego, bo małostkowego.

Wielbiono zaślubiny z morzem te z lutego 1920 r. Skromne, bo tylko 142 km linii brzegowej, licząc z Helem i bez żadnego wielkiego portu. Ale mimo to historycznie ważne. Dziś mamy zupełnie inny dostęp do morza, 770 km linii brzegowej i 3 wielkie oraz kilkanaście mniejszych portów. Nikt jednak w czasie tej podniosłej uroczystości w Pucku nie zająknął się nawet o ponowieniu polskich zaślubin z morzem w marcu 1945 r. Tym razem na tę współczesną, znacznie większą miarę.

Te drugie zaślubiny nie były jednorazowe. Miały kilka odśłon, spontanicznych i organizowanych. Najpierw 9 marca nieopodal Kołobrzegu dotarł do morza 5-osobowy patrol z 16. pułku piechoty, dowodzony przez kaprała Piworowicza, i wrzucił do wody pierścione, być może zdobyczne. Potem ceremonia się powtarzała w różnych miejscach. W Dziwnówku, w Mrzeżynie, na koniec w imieniu całej armii w Kołobrzegu. Najbardziej wzruszające były te spontaniczne spotkania z Bałtykiem: ułani 1. Brygady Kawalerii wbili w wodę słup przyozdobiony dwiema szablami. Przemawiali krótko, nie byli małostkowi jak dzisiejsi oficjele. Nawiązywali zgodnie do hallerowskich zaślubin z szacunkiem. Śpiewali z nostalgią przedwojenne pieśni o morzu z nieśmiertelnym: „*Morze, nasze morze, będziemy ciebie wiernie strzec...*”.

Dzisiejsi władcy robią wrażenie, jak gdyby wyżej sobie cenili te dawne 142 km od obecnych 770. A także, gdyby zapomnieli, że zaślubiny w 1920 r. dostały się Polsce bez przelania kropli krwi. Wyśiłkiem dyplomatycznym Ignacego Paderewskiego i Romana Dmowskiego. Za odzyskanie i zwielokrotnienie dostępu do Bałtyku w 1945 r. przyszło płacić krwią. Na Wale Pomorskim poległy 2 tysiące żołnierzy 1 Armii Wojska Polskiego, a w bitwie o Kołobrzeg kolejne 1,5 tysiąca. Rany odniosło 10 tysięcy. To się chyba powinno liczyć.

M.Z.

^{*} „Konflikty polsko-sowieckie 1942–1944”, Wyd. ISP PAN, Warszawa 1993.

Na haj

Jednak te „komuchy” to były skurwysyny. Pamiętam jak moi koledzy z SB musieli tłumaczyć się z „przewin” dalszych członków rodziny, pisać raporty wyjaśniające. Ja sam także to przeszedłem jak moja stryjka (żona brata mego ojca) wyjechała na saksy za wodę na lewe zaproszenie. W późniejszym okresie jako kadrowiec sam dbałem o „czystość rasy” żądając raportów wyjaśniających związanych z różnymi wydarzeniami wśród członków rodzin funkcjonariuszy SB i MO z naszego województwa. „Dobra zmiana” jest jednak bardziej przyjazna człowiekowi, rozumniejsza. W przekazie dnia jest informacja o zatrzymaniu narkomana posiadającego marihuanę i haszysz, i o dziwo wypuszczeniu go na wolność. I tu jest odwrótność sytuacji. Komunikaty mówią, że jest dorosły, pełnoletni i nie ma to żadnego wpływu na



opinię o jego bracie byłym wiceministrze sprawiedliwości, a aktualnie eurodeputowanym. A może jednak powinna mieć. Może on był dealerem swego brata, dostarczając paliwa – źródła emocji w jego ekspresyjnych, aczkolwiek dennyh wystąpieniach? Może był dealerem całej SP? Jak obserwowałem konferencję Ziobry z jego wickami (niedouczone magistry krytykujące profesorów prawa) to odniosłem wrażenie, że oni wszyscy byli na haj.

Jan Okragły, Suwałki

„Orzeł nizinny”

Słowa uznania dla Agnieszki Wołk Łaniewskiej, która w artykule („NIE” nr 5/2020) pokazała prawdziwe, jakże odmienne od obiegowych opinii, oblicze PO. Do pewnego stopnia tekst ten stanowi dla mnie ogromne zaskoczenie, oczywiście bardzo miłe. Odnoszę bowiem wrażenie, że po dojściu PiS do władzy „NIE” rozłożyło nad PO parasol ochronny. Jeśli tak faktycznie było, to mam nadzieję, że powyższy tekst stanowi w „NIE” swego rodzaju nowe otwarcie. Osobiście odczuwam taką potrzebę, gdyż jak na starego komucha przystało mój stosunek do PO i jej poprzednich wcieleń był i jest zdecydowanie krytyczny. W 100 proc. zgadzam się z dokonaną przez AWŁ oceną działalności PO, zarówno przed 2015 r. jak i potem. Nie mając w tym zakresie zbyt wiele do dodania od siebie, chciałbym tu tylko zacytować kluczowy moim zdaniem fragment artykułu:

Kasta kiedyś i dziś

Współcują red. nac. Jerzemu Urbanowi z powodu potłuczenia się. Sam tego doświadczyłem kilka lat temu. To skutek grawitacji, tajemniczej siły. Na tej samej ostatniej stronie redaktor P. Cwikliński rozważa, co by było, gdyby politycy opozycji udawali, że „Adriana” nie ma. Poszedłbym dalej i zaproponował wyeliminowanie tematu sędziowskiego. Aż do majowych wyborów. Wiadomo wszystkim, nawet ludowi, o którym obecny prezes reżimowej TV wyraził się swego czasu tak niepochlebnie, że cierpiący z powodu chorego kolana guru zjednoczonych pisowców wymyślił sposób na przykrywanie finansowych afer jego nominatów. Pomagają mu w tym biskupi z tzw. radiomaryjnego kręgu, podrzucając takie tematy jak gender, seksualizacja przedszkolaków, LGBT itp. Sami też nie zasypiają gruszek w popiele. Po lekarzach rezydentach i nauczycielach przyszła kolej na „kastę sędziowską”. W tym środowisku grasują jak rekiny. Co sobota w „studio Polska” odbywa się

Górnikom daj

Ciekaw jestem, jak potoczą się dalej górnicze protesty. Górnicy, którzy tak dzielnie walczyli z „komuną”, chcieliby chyba teraz jej powrotu. Zresztą całkiem słusznie. Relatywnie rzecz ujmując mieli wtedy lepiej niż dzisiaj, jeżeli porównamy ich dzisiejszy status materialny z innymi grupami zawodowymi. 7,6 tys. zł brutto, to niemało. Ale jeśli wziąć pod uwagę skandalicznie wysokie zarobki bandy politycznych urzędasów, którzy piastują różne funkcje w zarządach czy radach nadzorczych, to już tak dobrze nie wygląda. Nie żałuję ani złotówki górnikom,

którzy tyrają na dole. Ciężka i niebezpieczna robota. To krańcowa nieudolność i hucpa kierujących tym przemysłem uczyniła go tak nieefektywnym. Protestowanie przeciw sprowadzaniu tańszego węgla ze Wschodu w dobie gospodarki rynkowej jest – delikatnie mówiąc – niedorzeczne. Ile jeszcze lat Polacy mająłożyć miliardy na krajowe górnictwo?

W maju wybory prezydenckie. Górny Śląsk, to masa wyborców. Idę o zakład, że Andrzej Duda tam pojedzie, obieca i przytoczy słynne stwierdzenie Beaty Szydło: „Bo im się te pieniądze po prostu należą”.

Tadeusz, Bydgoszcz



www.tygodnikprzeglad.pl

W NUMERZE:

Andrzej Radzikowski
Związek zawodowy na XXI wiek

Jarosław Makowski
Celibat i dwuwładza w Watykanie

F-35 – pożeracz budżetu MON

Duda wstrzymuje nominacje profesorskie

Przegląd

Andrzej Radzikowski
Związek zawodowy na XXI wiek
F-35 – pożeracz budżetu MON

Jarosław Makowski
Celibat i dwuwładza w Watykanie
Duda wstrzymuje nominacje profesorskie

Jak zrujnowano wizerunek Polski

Oświęcim może się wydarzyć wszędzie, jak powiedział Marian Turski w trakcie obchodów w Auschwitz. Ale największą szansę na wygranie konkursu na to, „kto pierwszy”, znowu mają Niemcy.

Nienawiść do Żydów odradza się w Niemczech błyskawicznie: w tych Niemczech, które w Polsce przez pozytywne idiotów opisywane są jako kraj, który wzorcowo poradził sobie z trudną historią i zrobił to w najlepszy z możliwych sposob. Czy na pewno? Chyba nie do końca. Nie można nazwać „poradzeniem sobie z problemem” milczenia o tym, że on istnieje. Antysemityzm w Niemczech jest i ma się coraz lepiej, ale się o nim nie mówi albo zdarzenia jednoznacznie antysemickie nazywa się „rasistowskimi”.

Dowodem na istnienie realnego problemu może być fakt, że tematem zajął się Światowy Kongres Żydów. Przedstawicielom kongresu z ankiet wyszło, że

mniej więcej 25 procent Niemców ma poglądy antysemickie, taki sam odsetek uważa, że Holocaust może się tam spokojnie powtórzyć.

40 procent obywateli uważa, że Żydzi za dużo klepią o Zagładzie. Taki sam procent jest zdania, że niemieccy Żydzi są bardziej lojalni wobec Izraela, niż wobec ręki, która ich karmi. Aż 12 procent Niemców uważa, że wojny toczone na świecie to sprawa Żydów.

Jest też druga strona medalu.

Ponad 60 procent badanych przyznaje, że Żydzi są zagrożeni przemocą, w opcji minimalnej – słownymi atakami.

Ot, takie wydarzenia... W Berlinie rabina miejscowej gminy żydowskiej Yehudah Teichtal w obecności jego

Juden znowu raus

dziecka zelżyli i opluli dwaj mężczyźni. Niedługo później w Poczdamie 25-latką w jarmulce opluli i znieważyli 19-latek bez czapki. Do ataków coraz częściej dochodzi w internecie i w szkołach niemieckich, mimo że w Niemczech walka z antysemityzmem to część doktryny państwowej. Jak to jest możliwe w tym właśnie kraju, z jego uważnością na kwestie dotyczące Żydów?

Po pierwsze, winna jest skrajna prawica, która brandzluje się działaniem populistycznej partii AfD (Alternatywa dla Niemiec), która jest trzecią siłą w Bundestagu i robi się coraz śmielsza w działaniu. Jej obecność w przestrzeni publicznej ośmiela wariatów do działania: w październiku przed synagogą w Halle zamachowiec dokonał ataku, w wyniku którego zginęły dwie osoby i tym razem nie odpowiadał za ten czyn ciapaty, lecz 27-letni neonazista Stephan Balliet. Jego celem było wejście do synagogi i zabicie maksymalnej liczby ludzi. Na dzień ataku wybrał Jom Kippur, jedno z ważniejszych żydowskich świąt. Broń złożył sobie sam.

AfD ma poparcie mniej więcej 15 procent wyborców, a na terenie byłego NRD nawet 30 procent. To rzesza ludzi. Gdy pojawiają się zarzuty dotyczące promowania przez partię antysemityzmu, to z powodu samego bycia partią polityczną w pohitlerowskich Niemczech przedstawiciele ugrupowania skutecznie je odrzucają, a z drugiej strony tolerują orbitujące wokół osoby, które głoszą antyżydowskie hasła. Dlaczego? Bo AfD uważa, że za antysemityzm w Niemczech odpowiadają tak naprawdę

imigranci z Bliskiego Wschodu.

I tu jest problem, bo jest to po prostu prawda. Dowód? Przytoczone wyżej przykłady wydarzeń antysemickich poza neonazistowską egzekucją inicjowali Arabowie. To oni w chwili obecnej pełnią dla niemieckich prawaków funkcję, jaką przed wojną pełnili Żydzi: są mniejszością, którą można lżyć, poniżać, przeganiać z miejsca na kąt, aby na końcu – zabi-



ślone plany żydowskiej dominacji nad światem. Niemcy powtórzyli w zasadzie francuskie

błędy polityki imigracyjnej

i teraz za to płacą wzrostem antysemityzmu i coraz większą popularnością partii, które w swoim działaniu nie odcinają się od nienawiści do Żydów, lecz przeciwnie: korzystając z niej, po cichu budują swoje zaplecze.

Czemu tak trzęsę tylko przed jakąś jedną niemiecką partijką? Po pierwsze dlatego że nie przepada ona za Polską, po drugie dlatego że chwali rządy Adolfa Hitlera i za nimi tęskni, po trzecie zaś dlatego że w każdych wyborach głosuje na nią o ponad 50 procent więcej niemieckiego elektoratu niż w poprzednich. Dla Polaka jego działanie jest kompletnie nieśmieszne. Ot, Kay Nerstheimer, członek AfD, opublikował na oficjalnym profilu na Facebooku film obwiniający Polaków o wywołanie II wojny światowej; niedawno podobne brednie opowiadał Putin. Wobec Neistheimera toczy się co prawda postępowanie o wykluczenie z partii, ale ślimaczy się.

Obserwując to, co członkowie AfD wygadują, nazwać to można niemieckim „wstawianiem z kolan”: retoryka działaczy partii przypomina tę, jaką posługuje się PiS i chwiliami polscy narodowcy. Alexander Gauland, lider AfD, wyskoczył z hasłem, że Niemcy mogą być dumni z żołnierzy Wehrmachtu. Tekst jako żywo przypomina gadki naszej prawicy o żołnierzach wyklętych, ale siła rażenia zestawiona z analogiczną siłą Niemców, jeżeli powszechnie uwierzą oni w tezę lidera AfD, jest nieporównywalna, tak samo, jak jej konsekwencje. Różnice wynikają oczywiście z siły i pozycji Niemiec na arenie międzynarodowej: tak samo wygląda sprawa ewentualnych globalnych reperkusji tej i podobnych złotych myśli.

Jak tak dalej pójdzie, to odbije się to w

kontaktach Niemcy–Izrael.

Jest on najważniejszym niemieckim partnerem na Bliskim Wschodzie we

wszystkich najistotniejszych aspektach: gospodarczym, politycznym i w zakresie polityki bezpieczeństwa. Izrael jest jednym z niewielu państw, z którymi Niemcy prowadzą ciągłe konsultacje wyznaczające kierunki polityki bilateralnej. Izrael od mniej więcej dwóch lat z nami się nie lubi z powodu sposobu prowadzenia polityki międzynarodowej i wewnętrznej, której narracja tak u nas, jak i w Izraelu uległa zmianie.

Wynikiem opisanych przemian w życiu politycznym Niemiec jest fakt, że co drugi Żyd rozważa wyjazd z kraju, bo semici znowu boją się tam żyć. Nad problemem pochylił się Heiko Maas, szef niemieckiej dyplomacji. Nawołuje on do zaostrezenia prawa i wywierania nacisków, aby kolejne kraje uznały, że zaprzeczanie Holocaustowi jest przestępstwem. Maas uważa, że aby skutecznie walczyć z antysemityzmem w sieci, należy ujednolicić prawo dotyczące problemu w całej Europie i surowo karać za każdą „mowę nienawiści”. Ciekawe jest to, że szef dyplomacji, zamiast skupić się na problemie w kraju, który reprezentuje,

przerzuca odpowiedzialność

na całą Europę, projektując globalne rozwiązania w tym zakresie: takie działania rozmywa odpowiedzialność za problem samych Niemiec.

Ostatecznie Maas zapowiada, że aby skutecznie walczyć z antysemityzmem i kłamstwami dotyczącymi Holocaustu, powoła ekspertów, którzy opracują strategię mogącą pomóc w walce z tymi, którzy chcieliby negować fakt jego istnienia. Minister podkreśla rolę edukacji, znowu mówiąc o jej kształcie w całej Europie, a nie tylko w kraju, którym współrządzi. Maas przypomina wyniki badań, zgodnie z którymi jedna trzecia młodych Europejczyków nie wie kompletnie nic lub bardzo mało o Holocaustie. To ostatnie proponowane rozwiązanie niewątpliwie może być pomocne, ale jeżeli Niemcy nie zrobią nic, żeby przekonać muzułmańskich imigrantów do tego, że Żydzi też mają prawo do życia w Europie, to antysemityzm będzie w Niemczech nadal obecny i groźny, niezależnie od polityki stosowanej w odniesieniu do rdzennych Niemców.

ROZALIA SZUM

Włochaty feminizm

Nowa inicjatywa brytyjskich feministek: zakazać rozmów o sporcie w miejscu pracy.

„Nie, nie zakazać. Ograniczać. Moderować” – precyzuje szefowa Chartered Management Institute, poważnej organizacji z 70-letnią historią i monopolem na przyznawanie prestiżowego certyfikatu „Chartered Manager”. To ciało edukacyjne, doradcze i analityczne o bardzo wysokiej pozycji wśród brytyjskiej kadry zarządzającej.

Jego szefowa Ann Francke ogłosiła właśnie, że w jej profesjonalnej opinii jako autorytetu od teorii i praktyki zarządzania „kobiety często czują się pominięte”, gdy ich koledzy z pracy dyskutują o piłce nożnej lub krykiecie. Albowiem kobiety przeważnie „nie interesują się tymi sportami i nie chcą wybierać pomiędzy przymusem rozmawiania o nich i poczuciem wykluczenia”. Francke martwi się, że gadanie o piłce nożnej – a szczególnie o jej technicznych aspektach, takich jak wideoweryfikacja, która budzi namiętne spory wśród kibiców futbolu – w nieproporcjonalny sposób wyklucza kobiety i może prowadzić do podziałów w miejscu pracy. Co gorsza, „jeśli nie jest to kontrolowane, staje się furtką do chłopców zachowań”, takich jak „poklepywanie się nawzajem po plecach i przechwalanie podbojami z weekendu”. To też dobrzy menedżerowie powinni moderować dyskusje o futbolu i krykiecie, skupiając się na tym, żeby uniknąć wykluczenia kobiet.

...

Głupota tego pomysłu nie wymaga szczególnego omówienia – ale chciałam zwrócić uwagę na inny aspekt.

Wiecie, skąd to wiem? Z Russia Today – „najgroźniejszego instrumentu kremlofskiej propagandy”, „ostatecznej broni Putina w wojnie informacyjnej z Zachodem”.

RT, tak w telewizyjnej, jak internetowej wersji jest skupiona nie na sławieniu Rosji i jej wodza, tylko na ośmieszeniu szeroko pojętego Zachodu za pomocą zręcznego doboru prawdziwych doniesień. Zjawiska opisywane przez RT z taką złośliwością są pewnym wykwitem procesów kulturowych i politycznych, w swej istocie słusznych i moralnie chwalebnych – takich jak walka z ksenofobią i rasizmem, równouprawnienie kobiet czy zakaz dyskryminacji osób nieheteronormatywnych. Kłopot – i radość RT, a także polskich prawaków z „Niezależnej”, „Frondy”, czy Pch24.pl, którzy pilnie śledzą doniesienia kremlofskich propagandzistów i czerpią z nich garściami – polega na tym, iż te słuszne procesy w wyniku niepojętego rozrostu dotknęła swoista zmiana nowotworowa.

„Polityczna poprawność”, termin dziś uniwersalnie negatywny, zaczął karierę jako swoisty żart dla wtajemniczonych, kursujący w środowisku amerykańskiej postępowej lewicy lat 60. i 70., która z kolei zaczęła go ze sporu między amerykańskimi marksistami i socjalistami z lat 40. Pomni dogmatycznej sztywności komunistów młodzi radykałowie z pokolenia dzieci kwiatów piętnowali przejawy rasizmu czy seksizmu kolegów słowami: „To nie jest politycznie poprawne, towarzyszu”. Ten autoiro-



niczny komentarz stał się buforem przeciwko własnej ortodoksji w walce o zmiany społeczne – i obiektywnie rzecz biorąc był zabawny. Fakt, że obecnie termin ten przechwyliła ponura konserwa, czyniąc z niego oręż w walce z wszelkim społecznym postępem, jest dobrą ilustracją zwyrodnienia, jakim uległ cały ten proces.

...

Innych ilustracji dostarcza – w nadmiarze – Russia Today, a także dziesiątki prawicowych, konserwatywnych i wstecznych portali na całym świecie.

W Wielkiej Brytanii firma sprzedająca komputery sprofilowane do gier i syntetyzowania muzyki została przez Advertising Standards Authority zmuszona do wycofania reklam przedstawiającej trzech – zróżnicowanych etnicznie – facetów, ponieważ 8 osób zgłosiło protest, uzasadniając, że reklama promuje szkodliwy dla kobiet stereotyp, że tylko mężczyźni są zainteresowani rozwiniętą techniką.

W niezwykle poważnym piśmie naukowym poświęconym naukom biologicznym „Proceedings of the Royal Society B” ukazało się całkiem serio opracowane studium na temat seksizmu wystaw w muzeach historii naturalnej.

Badacze pod kierownictwem dr Natalie Cooper przeanalizowali 2 miliony eksponatów w pięciu największych muzeach na świecie i wykryli, że dyskryminują one samice: wśród ssaków samców było o 2 procent więcej, a wśród ptaków aż o 10.

W USA wrze dyskusja dotycząca zjawiska kulturowego „Januhairy” – połączenia słów „January” („styczeń”) i „hairy” („włochaty”). To zataczająca coraz szersze kręgi feministyczna akcja na rzecz zademonstrowania wolności i oporu wobec paternalizmu poprzez niegolenie nóg i pach w styczniu.

I tak dalej.

...

To, co było mądrą i sprawiedliwą walką o równouprawnienie kobiet – w wielu krajach, także w Polsce, nadal nieistniejące, czego dowodzi choćby „kompromis aborcyjny” – staje się słusznym źródłem kpiny ze strony światowej konserwy. Wielkie dzięki, zachodnie feministki!

AWŁ

Lato w zimie,
czyli dlaczego
angielska piłka
jest żółta.

Jaką właściwie mamy porę roku? Co innego widać na kartach kalendarza, a co innego przez okno. Jeśli chodzi o sport, wątpliwości nie ma żadnych. Trwa sezon zimowy.

I

Podział na dyscypliny sportu jest sztywny i oczywisty, przynajmniej od 1924 r., gdy zorganizowano pierwsze Zimowe Igrzyska Olimpijskie w Chamonix. Zimowe dyscypliny to takie, do uprawiania których niezbędny jest mróz, śnieg i lód. To oczywiście wykluczało wiele krajów, które miały nieszczęście znaleźć się w klimatycznej strefie zwrotnikowej. Czy ktoś słyszał o narciarzach z Afryki? Być może globalne ocieplenie sprawi, że za jakiś czas niemal wszyscy ludzie będą mieszkać w miejscach, gdzie mróz, śnieg i lód będą zjawiskami znanymi tylko ze starych fotografii.

Podział na dyscypliny zimowe i letnie trwa od lat, choć tak naprawdę przestał mieć sens. Wiele letnich sportów uprawia się zimą, a zimowych latem. Jedni przenoszą się pod dach, inni na sztuczny lód, a śnieg zastępują igelitem. Czy ktoś jeszcze pamięta, że np. w piłkę ręczną grano kiedyś na odkrytych boiskach, nie mówiąc już o tym, że w składach 11-osobowych, a nie 7-osobowych, jak dzisiaj. Podobną drogą kroczy sport niezwykle popularny w wielu krajach, choć akurat nie w naszym, czyli rugby. Nadal najwięcej emocji wzbudzają mecze 15-osobowych zespołów na odkrytych stadionach, ale na igrzyska olimpijskie trafia halowa 7-osobowa odmiana tej gry. Trafiła do programu letnich igrzysk, choć można w nią grać także zimą.

II

Program letnich igrzysk pęka w szwach. Coraz to nowe dyscypliny pragną się włączyć do olimpijskiej rodziny, co zapewnia prestiż i pieniądze. Działacze stają na głowie, żeby udowodnić popularność i międzynarodowy zasięg dyscyplin. Rośnie liczba uczestników, nie tylko sportowców, ale też sztabów szkoleniowych, medycznych i sędziów. Próbuje się imprezę odchudzać, likwidując niektóre konkurencje, zmniejszając liczbę sportowców w nich startujących, ale dyscyplin szybciej przybywa niż ubywa. Dla tych, którzy chcą znaleźć się na igrzyskach, organizuje się – jak gdyby na próbę – zawody pokazowe. Nie przyznaje się w nich medali, ale sportowcy mogą choć na krótko poczuć się olimpijczykami.

W porównaniu z programem letnich zawodów program zimowych igrzysk wygląda dość ubogo, co nie zmienia faktu, że są to i tak potężne zawody, wymagające dużego wysiłku organizacyjnego, nie mówiąc o finansach. Zimowymi igrzyskami nie pasjonuje się cały świat, choćby właśnie przez to, że w wielu krajach, ba, nawet na całych kontynentach nie uprawia się dyscyplin wchodzących w ich skład. Owszem, zdobyli popularność bobsleści z Jamajki, ale nie decydowały o niej wyniki sportowe, lecz raczej kolorowy styl bycia zawodników. Trudno też zapamiętać olimpijczyka z Wielkiej Brytanii, **Eddiego „Orla” Edwardsa**, który zdobył sławę, nieporadnie skacząc na nartach w okularach optycznych. Nie bez znaczenia była też jego komiczna fizjonomia i zabawne gesty. Nawiasem mówiąc, występy „Orla” sprawiły, że Międzynarodowa Federacja Narciarska (FIS) wprowadziła eliminacje przed zawodami – tak, aby nie mógł się na nich pojawić jakiś naśladowca brytyjskiego skoczka.

Skakać na nartach próbowali także Chińczycy. Jak zwykle w tym kraju, opracowano najpierw program, a następnie zaczęto go urzeczywistniać, nie szczędząc pieniędzy. Zatrudniono austriackiego trenera **Heinza Kocha**, który zajął się wyselekcjonowaną grupką pięciu kandydatów na przyszłych mistrzów. Wszyscy zamieszkali w znanym alpejskim ośrodku szkoleniowym Stams i regularnie ćwiczyli. Niestety plan nie wypalił i począwszy od 2007 r. Chińczycy przestali pojawiać się na międzynarodowych zawodach; grupę rozwiązano.

Klimakterium skoczków narciarskich

III

Głośno – i to z wielu powodów – było o olimpijskim starcie podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Soczi reprezentantki Tajlandii **Vanessy Vankorn** w narciarstwie alpejskim. Pod nazwiskiem biologicznego ojca wystąpiła światowej sławy brytyjska skrzypaczka Vanessa Mae. Brytyjczycy (urodzona w Singapurze Mae ma brytyjskie obywatelstwo, jako dziecko została adoptowana przez brytyjską rodzinę), nie chcieli wyrazić zgody na jej start, dlatego zwróciła się do ojczyzny biologicznego ojca, a Tajowie z radością ją przyjęli.

Pozostała jeszcze konieczność zakwalifikowania się do igrzysk. Niemal w ostatniej chwili Mae dokonała tego podczas zawodów rozgrywanych w Słowenii. W Soczi zajęła w slalomie gigantcie ostatnią lokatę, ale zawody ukończyła, co nie wszystkim uczestniczkom się udało. Działacze FIS, niezadowoleni z tego, że występ słynnej i pięknej skrzypaczki przykuwał większą uwagę niż starty uznanych alpejczyków, zawiesił reprezentującą Tajlandię alpejkę na 4 lata, motywując karę tym, że zawody kwalifikacyjne w Słowenii zorganizowano w taki sposób, aby Mae mogła zostać olimpijką. Skrzypaczka odwołała się do Międzynarodowego Trybunału Arbitrażowego ds. Sportu, sprawę wygrała, przywrócono jej prawa zawodnicze, a FIS zobowiązała się wypłacić odszkodowanie, które wirtuozka skrzypiec przeznaczyła na cel charytatywny. Zaczęła przygotowywać się do kolejnych igrzysk, w Korei Południowej, ale doznała kontuzji i skończyły się jej olimpijskie marzenia. Na nartach pewnie jednak nadal jeździ amatorsko, dopiero niedawno przekroczyła czterdziestkę.

IV

Czy nie byłoby słuszne przeniesienie niektórych dyscyplin z letniego programu do zimowego? Owszem, to się dwukrotnie zdarzyło. Mało kto wie, że łyżwiarstwo figurowe startowało podczas Letnich Igrzysk Olimpijskich w Londynie (1908) i w Antwerpii (1924). Trudno, żeby było inaczej, skoro zimowych igrzysk wówczas nie organizowano. Podobnie wygląda sprawa z hokejem na lodzie; pierwszy turniej rozegrano w Antwerpii, a drugi dopiero 4 lata później podczas I Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Chamonix. Więcej takich przenosin nie było, a chyba szkoda. Czy nie lepiej byłoby turnieje w wielu grach zespołowych – takich jak siatkówka, koszykówka czy piłka ręczna – przeprowadzać podczas zimowych igrzysk? Imprezą zainteresowałoby się więcej krajów, nie mówiąc już o tym, że organizatorzy nie byłiby zmuszeni do sztucznego ograniczania składów drużyn, bo podczas zimowych igrzysk nie ma aż takiego tłoku, jak podczas letnich.

Polska, choć niegdyś zimy u nas były srogie i śnieżne, nigdy nie zaliczała się do narciarskich i łyżwiarских potęg. Przez wiele lat szczyt możliwości się jednym złotym medalem skoczka **Wojciecha Fortuny**, zdobytym podczas Zimowych Igrzysk Olimpijskich w Sapporo (1972), co nie tylko w naszym kraju uznano za sensację.

Ofiarami zmiany ustroju w Polsce byli nie tylko pracownicy państwowych gospodarstw

rolnych i gigantycznych kombinatów przemysłowych, ale także sportowcy. Sport znalazł się w zapaści. Niektóre dyscypliny (piłka nożna) do dziś nie mogą się z niej dźwignąć. A wówczas na skoczniach narciarskich pojawił się **Adam Małysz**. Czterokrotny medalista olimpijski, czterokrotny zdobywca Pucharu Świata, czterokrotny mistrz świata i zwycięzca Turnieju Czterech Skoczni rozpoczął w naszym kraju fascynację skokami narciarskimi, która momentami przeradza się w szaleństwo. Kibice znów mieli swojego bohatera, kogoś, kto zaspokajał poczucie dumy narodowej. Nie bez znaczenia okazała się także osobowość skoczka: sympatyczny, uśmiechnięty i niegłupi młody człowiek. Za Małyszem poszli następni skoczki: **Stoch**, **Kubacki**, **Zyła**; do dziś na zawody Pucharu Świata jeździ barwna i głośna grupa polskich kibiców, którzy nierzadko stawiają się liczniej niż miejscowi.

V

Igrzyska w Soczi były dla polskich reprezentantów sportów zimowych więcej niż udane. Pojechało do Rosji 59 sportowców, przywieźli 4 złote medale i po jednym srebrnym oraz brązowym. Skoczek Kamil Stoch zdobył 2 złote medale, a panczenista **Zbigniew Bródka** złoty oraz brązowy. Bródka to ciekawa postać, jeden z niewielu, którzy dotrzymali wierności idei olimpizmu. Przygotowując się do startów, normalnie pracował jako strażak, był więc najprawdziwszym amatorem, co oczywiście nie znaczy, że nie przyjął oficjalnych nagród pieniężnych obiecanych medalistom przez Polski Komitet Olimpijski.

Zawody śledzono w kraju uważnie, obfitowały w dramatyczne wydarzenia. Biegaczka **Justyna Kowalczyk**, indywidualnie złota medalistka, ze złamanym palcem stopy i z antybiotykiem blokującą pobiegła w sztafecie, pomagając koleżance w zajęciu miejsca zapewniającego im otrzymanie państwowego stypendium.

Bądźmy uczciwi. Skoki narciarskie nie są dyscypliną popularną w świecie, prędzej można ją nazwać niszową. Nawet w krajach, których reprezentanci pojawiają się na skoczniach, nie budzą wielkich emocji. Nie są też sportem powszechnym.

Nikt rekreacyjnie nie uprawia skoków narciarskich, przynajmniej na trzeźwo...

Przed zawodami przeprowadza się eliminacje, które wyłaniają pięćdziesięciu uczestników głównego konkursu. Zazwyczaj sito eliminacji zatrzymuje ledwie kilku zawodników (zdarzyło się, że tylko jednego), bo na starcie staje ich niewiele więcej niż pięćdziesięciu. Coraz głośniej mówi się o tym, że dyscyplina przeżywa kryzys. Winna jest kapryśna i coraz cieplejsza pogoda. Wiele zawodów odbywa się na sztucznym śniegu lub dowiezionym z magazynów, gdzie gromadzone go wcześniej. Niektóre torpeduje silny wiatr.

Skakanie na nartach to bardzo droga zabawa. Prezes PZN **Apoloniusz Tajner** przyznał, że na kadre skoczków związek wydał w zeszłym roku 5,6 mln zł. Oczywiście włodarze polskiego sportu ten fakt nie odstrasza, kibicom trzeba dawać radość, a sponsorów nie brakuje. Nie wszędzie jest tak różowo.

VI

Podział sportów na letnie i zimowe powoli traci sens, ale tradycja to tradycja. Anglicy należą do narodów konserwatywnych, przynajmniej według stereotypu. Taka też jest angielska piłka. Mniej więcej w tym samym czasie, gdy kierowcy udają się do wulkanizatora zmienić opony letnie na zimowe, angielska Premier League zmienia piłkę, którą grają futboliści. Zimowa wersja różni się od letniej kolorem: jest żółta – żeby ją było dobrze widać na ośnieżonym boisku. Tyle że śnieg już dawno nie spadł na murawę, sens zmiany koloru jest więc podobny jak w przypadku opon. Zarabiają producenci sprzętu, bo zapatrzono w Premier League dzieciaki też chcą grać zimową piłką i ciągną rodziców do sklepów na zakupy.

W tych konserwatywnych rozgrywkach wprowadzono jednak rewolucyjną zmianę. Po raz pierwszy w historii Premier League zarządzone zimowe ferie dla piłkarzy. Roztropni Anglicy uczynili to jednak tak sprytnie, że kibice mogą tego nawet nie zauważyć. Tygodniową przerwę ma połowa drużyn, druga połowa gra. Za tydzień nastąpi wymiana. Wczasowicze wrócą na boiska, a na urlup udadzą się pozostali.

Co dalej ze sporty zimowymi? Nie umiem odpowiedzieć. *Sorry*, taki mamy klimat.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
w.mittelstaedt@op.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny
(zastępcy red. nac.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat,
Tadeusz Jasinski, Michał Marszał, Marta Miecińska,
Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Laniewska,
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerataz@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta
(koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc.,
3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont.,
L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań
– 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN

Numer zamknięto: **str. 1–16 – 12.02.2020 r.**



Takiej muzyki łaknie publiczność narodowa! Takiego koncertu było nam trzeba!

W roli supportu wystąpił Didżej Ziobro – znany raper posługujący się falsetem cienkim jak pilsilver, którym tnie niczym szablą. Oj, dostało się wczoraj wrogom Polski, oj, dostało. Ziobro ciął równo po Komisji Europejskiej i Sądzie Najwyższym, a nierozgrzana jeszcze publika powoli kupowała jego ostre teksty. Gdy gwiazda polskiego hip-hopu narodowego zakończyła szoł premierowym kawałkiem „Bitwa pod czarnymi owcami”, fruwały już marynary i łopotwały sztandary.

Bisów nie było, widownia niecierpliwie czekała na to, po co tu przyszła.

Scenę zasnęła mgła. Błysnęło strobo w małym falstarcie. Pojedynczy riff, uderzenie w talerz, solowy dźwięk basu. Gdy napięcie osiągnęło tysiąc woltów, wybuchła sztuczna supernowa, w której platynowym świetle pojawili się muzycy. Pałkarz grzmotnął w kocioł, gitara zacięła ostro, wszedł bas razem z ochrypłym głosem Nawackiego:

**„Prezesie drogi, prezesie drogi!
Julia Przyłębska już lepi pierogi”.**
Tak Brązowonosi zaczęli koncert – nastrojową balladą dla zakochanych.

W połowie utworu mgła zniknęła i mogliśmy ich zobaczyć w niebieskiej poświacie. Nawacki: skórzane rurki, podkoszulek z przekreślonym rysunkiem siedziby Sądu Najwyższego, czarno-biała bandana. Dudzicz (bas) zapuścił pióra i założył czarny jedwabny płaszcz z krzyżem i wyhaftowanym hasłem: „Kochamy cię, Kempa, wcale nie jesteś tepa”. Wytrykowski (perkusja) w świecących adidasach i trupim makijażu. Tomczyński (gitary) w typowej dla siebie za ciasnej marynarce i spodniach do kolan; opaska na rzadkim kłaku.

Po intro przyszła pora na evergreen: **„Wystarcza cztery Ziobra i Polska będzie dobra,
Ziobro ma wieprza, by Polska była lepsza”.**

Widownia oszalała. Zza kulis na moment wszedł na scenę Didżej Ziobro, aby lekkim skinieniem głowy podziękować Brązowonosym za szacunek.

Potem wprost genialna zagrywa z kastanietem. Nawacki kliknął nim i spytał publikę, co to za instrument. Usłyszał jęk znaku zapytania. Wyjaśnił, że nazwa przeszkadzajki to tytuł kolejnego numeru – „Kasta? Niet!”.

Po pierwszym powtórzeniu publiczność znała już refren tego wybitnego protest sądu:

**„Kasta? Niet! Na kastę pistolet!
Spójr, Gersdorf do ścieku spływa,
gdzie Strzembosz już przebywa.
Kasta? Niet! Na kastę pistolet!”.**

Jeden kawałek lepszy od drugiego. Heavy metal w najlepszym wydaniu. Nawacki w szczytowej formie. Nie czuło się braku Piebiaka (klawisze), który – jak wszyscy pamiętamy – uległ wypadkowi, spadając z krzesła i teraz przebywa na półrocznej rekonwalescencji.

Mówi się, że Zenek Martyniuk liże jaja Kurskiemu. Szanowni Państwo, Martyniuk przy Brązowonosych to niewinne kocię, debiutant, małe miki podlizu. Powiecie, cóż trudnego wleźć władzy w dupę... Brązowonosi pokazali wczoraj, że są w tym mistrzami świata. Przez cały koncert, aż do trzeciego bisu, na który wszyscyśmy czekali. „Wezwanie” i baryton Nawackiego:

**„Wezwani zbawiennym nakazem
i bożym pouczeniem oświeceni,
sędziów gonimy właściwym wyrazem,
jesteśmy do tego stworzeni”.**

Publiczność: – Do czego?!

Dudnienie perkusji. Tętent gitary basowej. Światła przygasty.

Nagle eksplozja! Nawacki, jak to już robił setki razy, wyjął broszurę konstytucji i przedarł ją na pół.

Publiczność doznała orgazmu.

PRZEMYSŁAW CŹWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



by blagier Urban

Świętego Rafała

Żarłem kolację w restauracji, naprzeciwko kobiety, która intensywnie przebiła mnie wzrokiem. Była z oleju na płótnie. Wisiała, na sprzedaż wystawiona przez galerię handlującą obrazami. Zadzwoiłem do sklepu z malarstwem, podano mi cenę. Przywiozłem 13 500 zł gotówką. Dostałem paragon i zapewnienie, że ładnie dzieło zapakują. Miał to być prezent niespodzianka dla Daniszewskiej, która w marcu obchodzi urodziny. Potem galeria zadzwoniła, że przeprasza, ale sprzedano mi obraz już wcześniej sprzedany komuś innemu. Dostałem butelkę czarnego Johnniego Walkera, żebym znieczulił żal.

Świętego Tymoteusza

Zrodziły się u mnie wątpliwości. Dlaczego obraz nie był w knajpie oznaczony zwyczajową kartką „sprzedany”. Dlaczego galeria nie zamieniła w knajpie płótna już sprzedanego na takie, które pragnie wcisnąć? Dlaczego w galerii, gdzie nabywca pojawia się najwyżej raz na kilka dni, sprzedawca w zamian za gotówkę dał mi paragon, co znaczyło, że nie chce oszukać na podatku, a to niebywałe? Podejrzewam, że obraz wcale nie był wcześniej sprzedany, tylko przywiezienie przeze mnie bez targu 13,5 tys. podbiło apetyt twórcy będącego artystą średniej miary i wzięcia. Nabrał nadziei na sprzedaż tego portretu za 50 lub 100 tys., nie rozumiejąc, że moja wpłata nie jest miarą wartości malarza, lecz owocem flirtu z modelką.

Świętej Euzebii

Proponuję, żeby sędziowie, prokuratorzy i adwokaci z krajów UE, USA i Kanady stworzyli składkowy fundusz solidarności z gnębionymi sędziami w Polsce. Zapewni on członkom sędziowskiego oporu nie tylko bezpieczeństwo materialne, ale także miarę poparcia prawników z innych krajów.

Świętego Miłosza

Na łamach pisowskiego tygodnika „Sieci” spotkałem starego znajomego Bernarda Margueritte, w latach osiemdziesiątych przedstawiciela francuskiej prawniczej prasy w Warszawie, stałego bywalca moich konferencji prasowych, z którym przekomarzaaliśmy się wdzięcznie. Teraz role się odwróciły: on broni reżimu, ja go zwalczam. Pan Bernard został polskim nacjonalistą. Po prostu drugi Chopin.

Świętej Elwiry

Moja ukochana donosicielka Dorota Kania donosi w tym tygodniu na okładce u Sakiewicza, że ojciec marszałka Grodzkiego był w UB. Z jej

tekstu wynika jednak, że nie wrywał paznokci, tylko przeciwnie – leczył palce okaleczone przez komunistycznych oprawców. Przez 2 lata był lekarzem więziennym, a zakłady karne podlegały wówczas resortowi bezpieczeństwa. Podejrzewam, że wujek Kani mógł służyć nam, czerwonym bestiom, będąc np. dozorcą w kamienicy znacjonalizowanej na polecenie PZPR. „Gazeta Polska” tytułuje się Tygodnikiem Niepodległego Polaka ukazującym się w Strefie Wolnego Słowa. Wszystko, co dalej, też czytać więc trzeba na odwrót.

Świętego Polikarpa

Azor wita mnie rano i widzę, że rozmyśla: Skąd ja znam tego faceta? Gdzie ja już słyszałem ten głos? Kim on trąci, pachnąc sobą, a nie mydłem? Pudel gubi się też w naszym ogrodzie, dokąd chadza szczać. Trzeba wychodzić i przyprowadzać go do domu. Ze strachem myślę o tym, że jest o 75 lat młodszy ode mnie.

Świętego Idy

8 lutego w Warszawie odbyła się całkowicie apatyczna demonstracja przeciw sędziom, czyli w obronie suwerenności Polski przed brukselskim imperializmem. Uczestnicy odbyli drzemkę na stojąco. Płomiennicze przemawiał Jan Pietrzak. Kochana Doroto Kania, donoszę uprzejmie, że wyleniały ten artysta był niegdyś zięciem brata I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie.

Świętej Lukrecji

„Dziennik Gazeta Prawna” jest gazetą i dziennikiem, któremu udzielił wywiadu prezes IPN Jarosław Szarek. O ile Rosji Putin powoli staje się coraz mniej potrzebny, o tyle dla polskiego instytutu narodowej odmiary pamięci niezbędny jest coraz bardziej. Kłamstwa historyczne prezydenta Rosji stały się racją istnienia IPN, i tak nacjonalizmy, udając walkę jeden z drugim, naprawdę żywią się nawzajem. Gdy gazeta będąca dziennikiem zarzuca prezesowi pamięci, że powiedział, że to nie Polacy, ale Niemcy mordowali Żydów w Jedwabnem, Szarek precyzuje swój pogląd: „Bez niemieckiej inspiracji i okupacji nie doszłoby do mordu”. Bez okupacji na pewno. Inspiracją był antysemityzm okupanta zachęcający polskich anty-Żydów do palenia żywcem niekatolickich sąsiadów. Misja ogólna IPN jest taka: nie oddamy Żydom II wojny.

Świętej Niny

Dr Szarek wyraził też pogląd, że państwo PiS powinno rozdmuchiwać dorobek IPN, „tworząc polskie katedry na ważnych światowych uniwersytetach”. Ciekawe, co to są polskie katedry.

Czy rząd warszawski ma je obsadzać Polakami? Czy mają to być odrębne katedry odrębnej wiedzy o przeszłości Polski? I czy każdy kraj oprócz utrzymywania ambasady ma prawo prowadzić własną katedrę, np. w Stanford, Berkeley, Oxfordzie albo u Lomonosowa? Czy też byłoby to przywilej wyłącznie Polski jako Chrystusa narodów? Pan Szarek powinien odwiedzić władze administracyjne jakiejś sławnej uczelni, żeby powziąć informację, że polski rząd nie może tam zainstalować i obsadzić nawet śracza.

Świętego Przybysława

Prezydent Duda przyjął zaproszenie Macrona na bieżącą rocznicę wybuchu Wielkiej Rewolucji 14 lipca. Nie wie, nieszczęśnik, w co się pakuje, a w plutonie jego ministrów nie ma tak pilnego byłego ucznia szkoły podstawowej, żeby mu to uświadomić. Watykański funkcjonariusz ks. prof. Waldemar Cisko ogłosił właśnie, że ta rewolucja wymordowała „setki tysięcy katolików np. w Wandei”, postępując w zgodzie ze swoimi ideami. „Historia się niestety powtarza” – dodał przestrożę. Duda wkopał się więc i jedyna jego nadzieja, że w lipcu będzie już jechała do Paryża prezydentka Kidawa-Błońska, co prawda też katoliczka, ale nie aż taka jak Duda. Gdyby jednak, odpukać w niemalowane, przyszło Dudzie latem w Paryżu tańczyć „Ça ira”, spieszyć go pocieszyć, że ksiądz profesor błdzi. W Wandei wybuchło powstanie zbrojne przeciw rewolucyjnemu rządowi. Armia Francji pospieszyła je tłumić przez zabijanie uczestników, jak to zawsze i wszędzie jest w zwyczaju w takich okolicznościach. W Wandei pod wodzą monarchistów z rządem walczyli chłopci. W tamtych czasach byli oni wszyscy katolikami. Armia zabijała więc katolików nie z powodu rodzaju ich religijności, tylko dlatego że byli reakcyjnymi powstańcami pragnącymi siłą obalić ustrój, prawo, parlament i rząd Francji.

Świętej Angeli

Gdyby ktoś jeden z pośród czytelników „NIE” chciał się ze mną spotkać, nie byłoby problemu. Tak wiele jednak osób, czasem z rodzinami, pragnie mnie odwiedzić, że to niewykonalne. Z doświadczenia wiem, że nie chodzi im o dyskusję, lecz o zwiedzanie mnie jako zabytku oraz o selfie. Zwiedzający przez grzeczność pytają mnie, co sądzę o PiS, czyli chcą, żebym streszczał to, co piszę. Albo mają mnie za Pytię i pytają, kto wygra majowe wybory. Na piśmie z góry odpowiadam, że ten lub ta, która dostanie w drugiej turze więcej głosów, ponieważ fałszowania powszechnego głosowania ze strony PiS spodziewać się możemy dopiero w dalszej przyszłości, gdy powstaną warunki ku temu. Zwiedzajcie Auschwitz, Wawel, Wieliczkę, a nie Urbana. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

PRZYGODY JARKA NIEZDARKA odc. 85



rys. RYSZARD DĄBROWSKI